Nr. 27. Lwów, Niedziela dnia 2. Lipca 1876 r. **Rok III.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXVI.

Towarzystwo ochrony zwierząt.

Zabiegi kilku ludzi dobrej woli i poczciwa energja dr. Janoty, profesora Uniwersytetu, sprawiły, żeśmy się doczekali Towarzystwa ochrony zwierząt, pierwszego w naszym kraju. Instytucja ta dla wielu osób niestety jest jakby zagadką, a co najmniej wydaje im się jedynie zabawą. Nie potrzeba dowodzić, że jeżeli w Saksonji liczącej 270 mil □ przestrzeni, towarzystw takich znajduje się pięć, to w kraju naszym blisko 5 razy większym, powinno ich być nie pięć, ale sto razy tyle, gdy się zważy, że pod względem obchodzenia się ze zwierzętami, jesteśmy zupełnymi barbarzyńcami. Dość rozpatrzyć się w karłowatych inwentarzach ludu naszego, dość wspomnieć na oburzające znęcanie się nad bydłem rzeźnem i t. d. Dzikie obchodzenie się ze zwierzętami, objawia dzikość człowieka, świadczy o grubej ciemnocie, a zarazem okazuje zapomnienie własnych korzyści. Czyż może rozróść się należycie i rozwinąć inwentarz, wcześnie zaprzęgany, źle karmiony i katowany? Czyż konie niemiłosiernie bite przy ciężkich dorożkach, śród wybojów i błota we Lwowie, męczone jazdą po górach i przepaściach tego miasta, mogą długo wysługiwać się właścicielowi?

Nie byłoby końca tym zapytaniom, jakie nasuwać się muszą bądź na wsi, bądź w mieście; nie pytając więc dalej, na doświadczeniu oparci zapisujemy ten fakt smutny, że w kraju naszym — zwłaszcza w części wschodniej, lud wiejski i miejski po barbarzyńsku obchodzi się ze zwierzętami, i że zwłaszcza w tej wschodniej części kraju Towarzystwo ochrony zwierząt niezmiernie jest pożądanem. Mimo ustaw z różnych lat, tępienie i dręczenie zwierząt nie ustaje. Wbrew ustawie z 19. lipca 1869 r. ochraniającej kozice i świstaki w Tatrach, pieczenie z tych zwierząt pojawiały się i pojawiają na zamożnych stołach. Wbrew ustawie z 21. grudnia 1874 praktykuje się zakazane wywożenie ptactwa za granicę. Pomimo ustawy z 30. stycznia 1875 r. odbywają się polowania w czasie zakazanym.

Towarzystwo ochrony zwierząt, staje na straży poszanowania ustaw, a jeżeli wzrośnie w liczbę wielką — w co nie wątpimy — wpłynie niezmiernie na uobyczajenie ludu i poprze usiłowania pedagogiczno-dydaktyczne szkółek ludowych. W całej Europie istnieją towarzystwa tego rodzaju oddawna, w naszym jeno kraju nie było ich dotąd. W Czechach znajduje się ich 8, w państwie pruskiem 42, w Rossji jest ich 8, w Warszawie 1. We wszystkich innych państwach europejskich i amerykańskich po kilka, kilkanaście, a jak w Anglji (ze Szkocją i Irlandją) przeszło 70. Nawet Egipt posiada Towarzystwo ochrony zwierząt w Kairze.

Już sama mnogość tych Towarzystw dowodzi ich użyteczności, więc skoro tymczasem zawiązało się u nas jedno Towarzystwo takie, należy popierać jego cele i łączyć się z niem jak najliczniej. Wkładka na cały rok wynosi tylko 1 złr. za co się jeszcze otrzymuje: „Miesięcznik galic. Towarzystwa ochrony zwierząt,“ wychodzący pod redakcją niezmordowanego w pracy publicznej dr. E. Janoty.

Nie podajemy treści statutu, ani oceny „Miesięcznika.“ Statut krótko i jasno wypowiada wyraźne cele Towarzystwa, humanitarne i utylitarne — a o „Miesięczniku“ najlepiej świadczy imię redaktora, znanego z zamiłowania przyrody i prac wielce użytecznych, a tyczących się przyrody naszego zwłaszcza kraju.

Nie wątpimy, że te krótkie i pobieżne słowa nasze wystarczą, aby czytelnicy nasi — przedewszystkiem zaś piękne czytelniczki zajęły się losami tegoż Towarzystwa i zapisały się wzorem dam francuskich i angielskich, na jego członków. W położeniu wyjątkowem, w jakiem się nasz kraj znajduje, nie powinniśmy lekceważyć żadnego objawu korzystnego, żadnej pracy, choćby na pozór najdrobniejszej, bo dopiero wtedy gdy na wszystkich punktach działać zaczniemy, kraj ostrząśnie się z apatji i wejdzie na tory pomyślniejsze.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

XIII.

Między innemi i Grossgarten stał się także celem częstszych wycieczek Fritza Hahna. Gdyby go kto zapytał o powód tych przechadzek, Fritz Hahn odpowiedziałby pewnie, że w piwiarniach tamtejszych jest dobre piwo i doskonałe frankfurckie kiełbaski, mimo to jednak częściej niż koło piwiarni, kręcił się koło domków królewskich kochanic, a głównie koło domu, w którym znaleźli emigranckie schronienia bohaterowie naszej powieści.

Fritz Hahn zabrał nawet bliższą znajomość z właścicielem tego domu, z jego żoną i córką, co mu jako rodowitemu Niemcowi przyszło bez najmniejszej trudności. Znalazł pretekst i zaczął u nich bywać, podobno pod pozorem że córce, która już do lat doszła, a której odpowiednia partja się nie trafiała, przyzwoitego małżonka nastręczy... Bywając w domu przyjmowany był częstokroć w tym pokoju, który bezpośrednio dotykał do mieszkania emigrantów, a nawet komunikował się z niem drzwiami, które wprawdzie zastawione były szafą, ale przez które głos rozmów prowadzonych po polsku nieraz bardzo wyraźnie do niemieckiego mieszkania dobiegał.

Jednem słowem, gdyby był chciał Fritz Hahn zostać niewidzialnym aniołem opiekuńczym emigranckiej rodziny, to miał ku temu wszelką sposobność. Wybadał jej stosunki, poznał sposób życia, a przy darach Ducha św. jakie nań niekiedy spływały mógł z urywków zasłyszanych rozmów poznawać

ich myśli, plany, nadzieje, słowem najskrytsze tajemnice.

W jakim celu to czynił, tego domyśleć się nie łatwo. To tylko pewna, że nie w interesie ani z polecenia pana Artura. Pan Artur polecił mu tylko jedno, żeby Zahajpolski i kapucyn więcej się w jego domu nie pokazywali, zresztą nie wydał żadnego rozkazu, któryby postępowanie Fritza Hahna mógł usprawiedliwiać lub tłumaczyć. Fritz Hahn oczywiście oprócz oddawania usług swojemu panu, do których był obowiązany i za które był płatny, prowadził także jakąś dyplomację na swoją rękę.

Co do samego polecenia pana Artura, Fritz Hahn wywiązał się z niego dosyć szybko i w sposób bardzo prosty. Zaraz nazajutrz po bytności u byłego kamerjunkra pan Bartłomiej Zahajpolski i ojciec Fulgencjusz każdy w swojem mieszkaniu odebrali polecenia, aby się bezwarunkowo i koniecznie tegoż dnia w godzinach przedpołudniowych *hinter die Frauen-Kirche* pofatygować zechcieli.

Ze strony emigrantów niestosowanie się do tak uprzejmych policyjnych zaproszeń, byłoby równoznaczne z objawieniem chęci wyjazdu z kraju, a wyjazd taki władze policyjne gościnnych krajów dających wychodźcom przytułek, mają zwyczaj z niesłychaną uprzejmością ułatwiać. Wiedział o tem pan Bartłomiej, wiedział i ojciec Fulgencjusz, nie omieszkali więc obaj okazać wszelką powolność policyjnemu wezwaniu, i spotkali się w bramie gmachu sąsiadującego z mennicą.

Okazawszy sobie wzajemne zaproszenia poszli do komisarza razem.

Pan komisarz przyjął ich z największą uprzejmością, poprosił siedzieć, zaczął rozmowę o pogodzie, o przyjemnościach Drezna, aż nareszcie, gdy się te przedmioty przy słabej niemczyźnie ks. kapucyna a jeszcze słabszej pana Bartłomieja wyczerpały bardzo prędko, zagadnął:

— Panowie, jak sądzę mają do mnie jakiś interes?..

— To jest... dostaliśmy wezwanie — odpowiedzieli obaj wręczając kartki...

— Ach! prawda... kazałem panów wezwać — odrzekł jakby przypominając sobie urzędnik policyjny —z jakiej przyczyny sam już dokładnie nie wiem... ktoś mi mówił, że panowie mają zamiar opuścić Drezno i królestwo Saskie w ciągu dwudziestu czterech godzin...

— My?... —zawołał ks. kapucyn zdziwiony.

— Tak jest, panowie... czyżby mnie mylnie poinformowano?..

— Ależ zupełnie mylnie, panie komisarzu.

— Tem mniej z tego się cieszę...—odrzekł komisarz — nie mamy bynajmniej chęci rozstawać się z miłymi gośćmi, w każdym razie objawiliście panowie takie życzenie wczoraj w pewnym domu przy ulicy Moszczyńskiego, to rzecz pewna, więc chociaż z żalem chciałem się do niego zastosować. Gdyby panom na opuszczeniu naszego kraju wiele zależeć miało, to radzę życzenie swoje objawić powtórnie w ten sam sposób a już my się chociaż z żalem o spełnienie go postaramy. Tymczasem dziękuję panom za pamięć i łaskawe odwidziny...

To mówiac komisarz powstał, pan Bartłomiej i ojciec Fulgencjusz ukłonili się i odeszli.

— Rozumiał ojciec dobrodziej co ten szołdra gadał?—zapytał pan Bartłomiej gdy się znaleźli na ulicy.

— Mniej więcej, a pan, panie Zahajpolski?

— Trochę.

— Więc o naszej wczorajszej awanturze...

— Wiedzą już tutaj...

— I w razie jakiej nowej zaczepki...

— Trzeba będzie zbierać manatki...

— A do kroćset!... więc te szołdry myślą, że mnieby to wstrzymało?... czy siak czy tak, panie bratku, gdyby nie upór rotmistrza... nauczyłbym ja tego panka...

— No .. ale skoro rotmistrz się upiera — rzekł spokojnie kapucyn.

— Ha! to trudno! trzeba się mitygować — odparł zły i nachmurzony pan Bartłomiej — ale zkąd te szołdry mogą już wiedzieć o tem.

— Ba! Niemcy... słyszą jak trawa rośnie...

— Nie! ojcze dobrodzieju! to rzecz wyraźna, to on sam ten pyszałek zaniósł na nas skargę!... Tego przecież darować mu nie można!...

— Panie Zahajpolski — przerwał kapłan — nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni, mówi Pismo...

— Co mi tam!... czy siak czy tak, jabym mu nie darował, gdyby nie rotmistrz, ale przyjdzie na takich godzina odwetu, jakem Zahajpolski, przyjdzie!...

Ojciec Fulgencjusz nic nie odpowiedział i dalszą drogę odbywali w milczeniu.

XIV.

Z powtórzonej tylko co rozmowy Zahajpolskiego z ks. kapucynem wiemy już, że rotmistrz oparł się stanowczo wszelkim krokom stanowczym, mającym na celu odzyskanie choć części wartości Zaskala.

Pan Bartłomiej i ojciec Fulgencjusz, których widzieliśmy wchodzących do mieszkania Stanisława w Grossgartenie, nie byli tam pierwszymi zwiastunami nowiny o tem że pan Artur swojem i ojca imieniem stanowczo odmawia wchodzenia w tym względzie w jakiekolwiek układy.

Uprzedziła ich ciocia Giefia, która wkrótce po rozmowie z panem Bartłomiejem, użyła innej karteczki z adresem i dopytała się do nich.

— Nareszciem was znalazła! — zawołała wchodząc — ciebie droga Kostusiu i pana, panie rotmistrzu...

Nastąpiły uściski i powitania.

— A gdzież twój mąż?—dodała zwracając się do Konstancji po pierwszych pozdrowieniach.

— Wyszedł...

— No, spodziewam się, że i bez niego przyjąć mnie można droga Kostuniu... nie mam widzisz własnego kąta... Z Zaskala mnie wypędzili, a mój majątek skonfiskowali.. *Ferszte kaj Wort, weisse Bär!* przy was tylko na tym świecie będę się mogła jeszcze przytulić... Ah! ale, co ja widzę... kolebka...

Konstancja z zadowoleniem upojonej radością mutki ukazała szambelanowej swój skarb maleńki.

Pani Wieluńska pochyliła się nad uśmiechającą się do niej dzieciną.

— Podobniuteńki do matki, jak dwie krople — zawołała — no, co malutki, ja *weisse Bär,* gadaj mi zaraz ty niemczyku, bo ja widzisz *ferszte kaj Wort...*

Rotmistrz siedzący opodal w fotelu zaprotestował uroczyście przeciw tytułowaniu swego prawnuka Niemczykiem, szambelanowa opierała się że musi być Niemczyk, kiedy jeszcze po polsku nie rozumie ani wyrazu, tak jak lokaj pana hrabiego, śmiała się, trzpiotała, kręciła i przez kwadrans nie można się było od niej dowiedzieć żadnych szczegółw, oprócz tego, że ją wypędzono z Zaskala, ze skonfiskowano jej majątek, że nie rozumie ani słowa po niemiecku i że ją dzieciaki nazywają białym niedźwiedziem.

Po kwadransie szambelanowa obejrzała się po pokoju i zapytała powtórnie:

— A gdzież twój mąż, Kostuniu?...

— Wyszedł — powtórzyła Konstancja. Chciała mówić coś więcej, ale jej zaraz przerwała szambelanowa.

— No, ale przecież i bez niego przyjąć mnie możesz...

— To się rozumie! jak może ciocia o to pytać!

— Ja też nie pytam, tylko jestem i nie pójdę, bo gdzieżbym poszła?... majątek mi skonfiskowali, *ferszte kaj Wort!...* nie mam kąta ani szmaty na obwinięcie palca... Ale ciężarem wam nie będę... dacie mi przy sobie jeden pokoik, albo parę... jednę lub dwie służące... oto i wszystko.

Konstancja uśmiechnęła się wesoło.

— Jeden lub dwa pokoiki.. jedną lub dwie służące... — powtórzyła — znać ciociu żeś nie była emigrantką... a ileż sądzisz, że my mamy wszystkich pokoi?

— Prawda ten domek szczupły — odrzekła szambelanowa — ale przecież razem z piętrem będzie prawie taki jak dwór w Zaskalu...

— Ten pokój — odpowiedziała Konstancja — i ten drugi przyległy to są całe nasze apartamenta.

— A dom nie wasz?...

— Zkądżeby?..

— I wy tu możecie wytrzymać? w dwóch pokoikach?...

— Nietylko możemy, ale nawet sądzimy że nam będzie dobrze razem z tobą, kochana ciociu.

— W dwóch pokoikach?...

— Jest w sąsiedztwie trzeci, właśnie wolny, przynajmiemy go..

— No to jeszcze... ale gdzież się mieści służba?

— Nie mamy służby...

— Jak to? ani piastunki, ani młodszej, ani kucharki?...

— Ani żadnej rzeczy która jego jest..

— Ależ to okropne! a któż mnie będzie usługiwał?

— Służąca gospodyni robi porządek, i przywozi z miasta co trzeba.

— Niemka pewno?

— Naturalnie.

— Niemka! *ferszte kaj Wort.* — załamała ręce ciocia Giefia — i jak ja się tu z nią dogadam!..,

— No, no! będziem sobie jakoś radziły... nie bój się cociu... do wszystkiego przyzwyczaić się można..

— Ciężko to się przyzwyczajać — westchnęła szambelanowa — no ale czemuż tak się oszczędzacie?

— Czemu? z prostej przyczyny... z konieczności.

— Jakto?.. nie macie nic?

— W gotówce nic... ale mamy majątek....

— Majątek?... myślisz pewno o Zaskalu?...

— Nie myślałam o tem, — odpowiedziała Konstancja, ale przecież i Zaskale coś warte...

— *Ferszte kaj Wort*... wszystko przepadło.. Zaskale to sen...

— Nie rozumiem co chcesz powiedzieć cociu.

— Powiem ci... tylko mi z rozpaczy nie zemdlej... ale zresztą choćbyś zemdlała nie stanie ci się nic... ja pochowałam trzech mężów... mdlałam po każdym i nic mi się nie stało... Otóż jednem słowem jeżeli o Zaskalu myślisz, to *ferszte kaj Wort,* pisz na Berdyczów, z Zaskala nic wam się nie dostanie, jesteście dziady.

Teraz dopiero ciocia Giefia opowiedziała swoją bytność u hrabiego Artura i jego stanowczy zamiar uznania pozornej sprzedaży wioski za rzeczywistą.

Konstancja nietylko nie zemdlała, ale z całym spokojem wysłuchała opowiadania, które ciocia Giefia zakończyła z oryginalną i bezwzględną szczerością, wyrazami:

— Widzisz tedy Kostuniu, że cała bieda w tem, żeś nie poszła za moją radą.

— Za jaką radą?...

— Gdybyś była wzięła pana Artura, nie byłoby do tego wszystkiego przyszło i byłabyś teraz hrabiną.

Konstancja wzruszyła ramionami.

— Moja ciociu — odrzekła — nie mówmy o tem, bo się w tym względzie nigdy ze sobą nie zgodzimy... Jeżeli tak jest jak powiadasz, to trudno, ale trzeba się zgodzić z losem i nie ma czego rozpaczać... Przecież oprócz Zaskala mamy jeszcze majątek...

— Macie majątek... jakiż to? — zagadnęła z ciekawością szambelanowa.

— Głowę i ręce mojego męża.

— Głowę i ręce! — rzekła z wyrazem rozczarowania pani Wieluńska — a cóż głową i rękami zrobić można?...

— Tyle ile potrzeba, aby wychować na uczciwego człowieka, to małe bobo, które tam leży w kolebce.

I pobiegła kochająca matka do dziecka, które w tej chwili głosem dla niej tylko zrozumiałym, dopomniało się o pokarm, przytuliła je do piersi, i zanuciła mu polską piosenkę z taką swobodą, jakby wcale nie usłyszała wieści, że zostaje pozbawioną całego swojego mienia.

Szambelanowa patrzyła na nią z pewnem zdziwieniem.

— *Ferszte kaj Wort, weisse Bär* — rzekła — i ty nie rozpaczasz, ani nie mdlejesz?...

— Jak widzisz, ciociu.

— Liczysz tyle na głowę i ręce twojego męża?...

— Liczę...

— A gdzież on jest ten twój mąż?

— Wyszedł...

— Wyszedł, wyszedł... kilka razy to już słyszałam.. czemuż nie wraca?

— Wróci po siódmej, jak się robota skończy w fabryce...

— Więc ma fabrykę!...

— Nie... jest robotnikiem w jednej z tutejszych garbarni.

— Robotnikiem!... — jęknęła szambelanowa.

Ręce jej opadły bezwładnie, głowa zwiesiła się na ramię. Zdawało się Konstancji że zemdlała. Chciała już położyć dziecko i spieszyć jej na ratunek. Pani Wieluńska jednak przyszła nagle do siebie, podniosła się nawet z krzesła o własnych siłach, przystąpiła do Konstancji, spojrzała jej w oczy i rzekła:

— Kostusiu!... kochasz ty mnie choć trochę?

— Moja ciociu, wzrosłam przy tobie od dziecka, byłabym niewdzięczną gdybym się do ciebie nie przywiązała i gdybym cię nie pokochała.

— A mąż cię kocha?... o to nawet pytać nie trzeba... musi kochać... jakżeby nie kochał ciebie... kiedy ty jesteś Szóstacka z domu a on... ale widzę, że cię to gniewa więc dam pokój... Otóż kiedy ty mnie kochasz, to go poprosisz, a kiedy on cię kocha to zrobi to dla ciebie... z pewnością Kostunieczko zrobi!..

— Ależ co takiego?...

— Porzuci tę nieznośną fabrykę i przestanie być robotnikiem...

— Ależ ciociu! co za myśl!

— Wybierze sobie jaki inny stan, godniejszy europejskiego i salonowego człowieka, godniejszy szlachcica...

— Przecież on nie szlachcic, ciociu.

— Psst... dziecko, nie mów tego, mógłby kto jeszcze usłyszeć... wiem że nie szlachcic, ale powinien się starać być chociaż trochę szlachcicem. kiedy się z Szóstacką ożenił!... Niech rzuci tę przeklętą fabrykę, zaklinam cię niech ją rzuci!...

— Cóżby robił?...

— Niech zostanie urzędnikiem, profesorem, doktorem medycyny, adwokatem, wszystkiem, czem chce, byle nie robotnikiem... jakżebym ja mieszkała u robotnika?

Chęć śmiechu i litość nad biedną ciocią Giefią uczuła jednocześnie Konstancja. Chciała jej perswadować, że to niepodobieństwo, że na obczyźnie dla tułacza wszystkie sposoby do życia oprócz pracy rąk są zamknięte, że to garbarstwo było jedynym skarbem, jaki Stanisław mógł zabrać na emigrację, że w obcych krajach robotnik innego doznaje poważania jak u nas. Ale daremne były wszelkie perswazje, ciocia Giefia wciąż obstawała przy swojem, tupała nogami i powtarzała:

— *Ferszte kaj Wort,* Kostusiu, musisz to zrobić dla mnie, żeby on nie był robotnikiem!... gdzieżbym ja, wdowa po szambelanie, kobieta salonowa i europejska, gdzieżbym ja... nie! to się nawet pomyśleć nie da, ja nie mogę mieszkać u robotnika.

Wymagała od Konstancji przyrzeczenia, że na miłość dziecka zaklnie męża, żeby był powolnym temu żądaniu, a gdy Konstancja odpowiedziała jej stanowczo i nieodwołalnie że tego zrobić nie może i nie zrobi, bo się czuje losem swoim zadowoloną, i sądzi, że jako dla żony najszanowniejszym dla niej być powinien stan jej męża, ciocia Giefia przybrała po raz drugi w życiu swojem pozę tragiczną Dziewicy Orleańskiej i zawołała:

— *Ferszte kaj Wort*... nie chcesz niewdzięczna, no to nie... niech się ze mną dzieje co chce... Noga moja nie postanie tu więcej!

To powiedziawszy wyszła z pokoju.

Konstancja chciała pobiedz za nią, wstrzymał ją gestem rotmistrz, który w milczeniu i zadumie przypatrywał się całej tej scenie.

— Daj pokój, dziecko — rzekł.

— Ale dziaduniu, cóż pocznie nieszczęśliwa bez przytułku?

— Nie bój się, wróci... a teraz pójdź tu do mnie dziecko moje i patrz mi w oczy.

Żona Stanisława z miłością zatopiła wzrok w przygasłem spojrzeniu rotmistrza.

Patrzyli tak na siebie przez długą chwilę poczem w oczach rotmistrra zaświeciły dwie łzy...

— Płaczesz dziaduniu?... — zawołała przelękniona Konstancja.

Staruszek przycisnął ją do łona.

— To nic — rzekł — to nic dziecko moje, to z radości, ze szczęścia...

Wnuczka znów w jego oczy wlepiła tym razem pytające spojrzenie.

— Z radości i ze szczęścia, dziecko moje — odpowiedział na to nieme pytanie starzec — z radości i ze szczęścia, że jesteś taką... (C, d. n.)

WYCIECZKI
na współczesny Parnas Francuski

przez

J. S. Chamca.

II.

GEORGE SAND [1])

Po królu, królowa, z przenośnią i bez niej. Po Aleksandrze Dumas, pierwszym z żyjących dramaturgów, Georges Sand pierwsza z współczesnych powieściopisarek Francji. Nieprzewidując opozycji, nie widząc nikogo coby mógł i śmiał z przeciwną wyjechać kandydaturą, bez dalszych korowodów przystępujemy do rzeczy.

Czy wiecie, że my, Polacy, w Georges Sand prócz niezaprzeczalnego jej talentu, jeszcze i krew monarchów naszych, choć z lewej ręki,

[1]) Studjum niniejsze było napisane i przysłane nam jeszcze za życia znakomitej autorki, ale dla braku miejsca nie mogliśmy go prędzej umieścić. (P. r.)

winniśmy uczcić z zapałem legitymistycznym, jeźli tylko stać kogo z nas na taki zapał. Nieświadomych rzeczy, zadziwi a może i oburzy hipoteza takich niespodziewanych koligacyj. Nic jednak nad nią prawdziwszego, nic do udowodnienia łatwiejszego. Prosta linja jak strzelił.

Maurycy Saski, marszałek Francji, a syn naturalny Augusta IIgo króla Polskiego i Aurory hrabiny v. Koenigsmarck, w jednym z licznych miłośnych stosunków miał córkę, która 1mo voto hrabina Horn, 2do voto Pani Dupin de Francueil, była matką Maurycego Dupin, urzędnika w ministerjum wojny za czasów pierwszego Cesarstwa, a babką Aurory, Łucji dwóch imion Dupin, zamężnej Dudevant, autorki pod pseudonimem Georges Sand, a bohaterki szkicu niniejszego. Praprawnuczka Augusta II, prawnuczka Augusta III, wnuczka królewicza Karola, pani Georges Sand domaga się więc hołdu od serc wiernych zasadom dynastycznym. Tem bardziej, iż pod względem charakteru, a mianowicie zmienności uczuć żywem do prapradziada swego udeza podobieństwem. W braku innej sukcesji, naprzykład prawa do tronu, odziedziczyła po nim gorące serce, namiętną wyobraźnię, wreszcie pochopy do motylich z kwiatu na kwiat wędrówek. Nie skandaliczne, nie pokątne, lecz głośne, i wszystkim znane opiewają to kroniki. Zaczynając od Juljusza Sandeau, pierwszego amanta, pod którego obciętem imieniem na literackiej zajaśniała widowni; przez Alfreda de Musset, z którym podróżowała po Włoszech; przez naszego Szopena, z którym żyła lat ośm; przez Piotra Leroux (filozofa), Louis Blanca i Barbes'a (socjalistów), aż do Gustawa Flaubert, powieściopisarza, na którym romantyczną zakończyła karjerę, niebyło prawie literackiej lub w ogóle artystycznej znakomitości, która by się nie mogła poszczycić dłuższemi lub krótszemi względami tej szczególnej kobiety.

Co na szczególną zasługuje wzmiankę, to okoliczność, że prawie każdy z tych ulotnych stosunków, na odpowiednich pod względem czasu utworach jej pióra wytłoczył pieczątkę swego wpływu. Baczny a trochę z biografją Georges Sand obeznany czytelnik, przebiegając z kolei wszystkie jej produkcje, zgadnie bez trudu czyje przewodniczyło w nich natchnienie. Talent więc to nie samoistny, ktoś powie, skoro tak wszystkim nań działającym ulega wpływom; skoro z szkarłatnej w różową mieni się barwę, od gorącej mistycznej wiary, do chłodnego przychodzi mistycyzmu, wszystko tworząc nie gwoli własnej naturze, lecz pod obcych prądów podmuchem, lecących to od Sahary, to z pod biegunów. Talent to samoistny, odpowiemy — samoistny na tyle, na ile nim talent kobiety być może.

Kobieta, niech co chcą mówią zwolennicy jej obywatelskiego równouprawnienia, kobieta we właściwych jej sferach uczucia mistrzyni nam i przewodniczka, w sferach umysłu bądź do niesłychanych dochodzi absurdów, jeźli wszystko mierzy sercem i nerwami, bądź gdy zrzuci pychę i zamknie się w roli przepisanej jej przez naturę, czyjemśkolwiek staje się echem.

Postawiona u szczytu władzy jak Elżbieta Angielska, albo Katarzyna rossyjska, większe lub mniejsze swych rządów powodzenie zawdzięczy lepszemu lub gorszemu wyborowi f a w o r y t ó w; gdy stanie z lutnią i piórem w ręku, kwileniom serdecznym dając za wygranę, będzie albo wyplataczką oryginalnych andronów, albo tłumaczem cudzych myśli. Oto żelazne dylemma, o którego prawdzie wcześniej czy później przekona się każdy badacz przyrody, dziejów i towarzystwa.

Talent Georges Sand jest samoistnym, pod względem formy, na kartkach prosto z serca płynących, w ściśle ograniczonej uczucia dziedzinie. Nie jest nim atoli wszędzie tam, gdzie traktowana kwestja, na szersze umu wybiegając płaszczyzny, pozytywniejszego potrzebuje przewodnika. Jak owa rzeka zdolna sama przez się odbić błękit nieba i użyźnić nadbrzeżne niwy, by w oddalone kraje zanieść skarby handlu i przemysłu, słowem, by mniej lokalną a pożyteczniejszą odegrać rolę, nie obejdzie się bez pomocy umiejętnego inżyniera. Z tego stanowiska należy patrzeć na talent Georges Sand, i z tego tylko go sądzić.

A talent to, jak brylant „pierwszej wody". Pod względem formy, obrazowości, pojęcia, czasem nawet że tak powiem przeczucia natury, może najsurowszych rozbroić krytyków. Otwórzcie proszę, jeden z lepszych jej romansów, n. p. „Człowiek ze śniegu" (*L'homme de neige*) przypatrzcie się w nim wspaniałym krajobrazom zamrożonej, arktycznej przyrody, i powiedźcie, jest że który z żyjących na północy artystów pędzla lub pióra, coby mógł z tą córką południa, rysującą z wyobraźni, puszczać się w zawody pod względem piękna i prawdy obrazów?

Otwórzcie drugi jej utwor „Listy podróżnika" (*Lettres d'un voyageur*) i powiedźcie, który ze specjalistów, botaników, umiałby florę południowej Francji i Włoch północnych, nie powiem z większą znajomością rzeczy, lecz z większą określić intuicją? Który, zwłaszcza, traktując kwestję tak dla ogółu nudną i suchą, potrafiłby silniejsze w czytelniku obudzić zajęcie? Tak jest. Talent to pierwszorzędny, i jeśli otrząśniemy zeń wszystko, co obcym jest wpływem, to jeszcze otrzymamy niesłychane bogactwa w rezultacie.

Talent to niezmordowany. Jeżeli płodność twórcza jest własnością jenjuszu, to któż do takowego więcej jak Georges Sand może mieć pretensji? Sześćdziesiąt przeszło (do 100 tomów) romansów i powieści, 20 z górą większych i mniejszych utworów dramatycznych, trzy spore tomy Pamiętników (*Histoire de ma vie*) bez liku literackich i artystycznych artykułów, po perjodycznych rozsianych pismach, oto żniwo jej działalności, która nie osłabła pomimo podeszłego wieku autorki.

Ostatnie jej produkcje nie tylko że nie noszą na sobie śladów znużenia, wyczerpania, przesiłku, słowem starości, owszem uderzając nas większą dojrzałością i wytrawnością pomysłów, przechowują całą dawniejszą świeżość wykonania.

Prawdopodobnie nie wywołamy protestów twierdząc, że przedostatni jej romans *Flamarande* ogłoszony w *Revue des deux mondes* policzyć się może do lepszych utworów całego jej żywota.

Talent to wreszcie kapryśny i nierówny, zwyczajnie talent kobiecy. Płomień pochodni wystawionej na cztery wiatry, na cztery też zgina się strony. Nie znając majestatycznego wielkich mistrzów spokoju, to strzeli fantastycznym piękna fajerwerkiem, to zda się gasnąć i kopci nawet czasami.

(C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

Czesław Pieniążek.

(*Ciąg dalszy.*)

Mimo zdań różnicę w niejednem, zgadzali się trzej profesorowie w ogólnych zapatrywaniach na stosunki współczesne i ta ich zgodność, ta ich przyjaźń serdeczna dawały im siłę na katedrach — niebezpieczną obozowi przeciwnemu, w którym reakcyjne powiewały sztandary. Dotychczasowy zbiór korespondencji Mickiewicza, wyjaśnia dokładnie serdeczne między profesorami stosunki, a w dziełach swych pozostawili obaj uczeni francuscy dowody, jak wysoko cenili Mickiewicza. Na lekcji 10 marca 1844. mówił Quinet o Mickiewiczu do swoich słuchaczy dość długo, z czego jeno kilka wierszy wyjmujemy.

„*Je dois constater, saluer comme un fait important, ce qui se passe à quelques pas d'ici dans l'enceinte du Collége de France. Au nom des Slaves le premier poète des Slaves, notre cher, notre héroïque Mickiewicz, combat de sa sainte parole une cause qui bien souvent se confond avec la nôtre. Qui jamais a entendu une parole plus sincire, plus religieuse, plus chretienne, plus extraordinaire, que celle de lui exilé, au milieu d'une reste de son peuple, comme le prophète sous le saules? Ah! si l'âme des martyrs et des saints de la Pologne n'est pas avec lui, je ne sais ou elle est...*" (T. II des Oeuvres complètes p. 149.)

Micheleet nazywał Mickiewicza w prelekcjach swoich: „*Notre illustre collegue et ami*" a jak się na te stosunki zapatrywała pewna część Polaków w Paryżu, świadczy list z 24 marca 1844 w „R o k u" poznańskim. Jest tam między innemi następujące doniesienie:

„Rzecz zadziwiająca, że znakomici historycy Quinet i Michelet, stanęli w porozumieniu z Mickiewiczem, z katedr rozpoczynają manifesta przeciw kościołowi i duchowieństwu. Na Quineta prelekcji Polacy i Francuzi wykrzykiwali sobie nawzajem wiwaty."

Dziwić się wypada, że się to wydało z a d z i w i a j ą c ą rzeczą korespondentowi z marca 1844 po korespondencji w temże samem pismie (także z Paryża 16 stycznia 1844) umieszczonej. W tej styczniowej korespondencji czytamy, że kaznodzieje polscy nie znajdowali „ani jednego błogosławieństwa dla ś w i ę t o ś c i n a r o d o w y c h i tylko jakąś z a a l p e j s k ą b i g o t e r j ą starali się owładnąć słuchaczy z pod Karpat, z nad Wisły, że step i z nad Willji" i porzucali odwieczne, tradycją uświęcone obywatelskie stanowisko duchowieństwa polskiego, a zaszli na grunt poprzednikom swoim nieznany, obcy, kosmopolityczno-rzymski."

Walka z profesorami zaczęła się zacięta 28 maja 1844, ostatni raz odezwał się z katedry Mickiewicz i jak błyskawica zatonął, zagasł w ciemnej chmurze tej ostatniej, wyegzaltowanej prelekcji. Niedługo potem wystąpiono w parlamencie przeciw dwom jego francuskim kolegom, a skutkiem obrony ministra oświaty p. Salvandy oddano rzecz całą do rozpatrzenia i osądzenia właściwej, przez prawo naznaczonej instytucji t. j. zgromadzeniu profesorów. Gdy zaś takowe zatwierdziło ich wykłady, pozostawiono im katedry

Za staraniem młodzieży odlanym został duży medal bronzowy, z popiersiami: Mickiewicza, Micheleta i Quineta z jednej strony, a z drugiej strony z napisem: *Ut unus omnes sint i La France et les auditeurs du Collége de France.* Młodzież wysłała z temi medalami deputację do każdego z profesorów z osobna. Reakcja nie mogła spokojnie patrzeć na te manifestacje i w r. 1845 Quinet, a w r. 1848 Michelet, utracili katedry, które im dopiero rewolucja przywróciła.

Mickiewicza starano się odwieść wszelkiemi siłami od tego kierunku; czyniono mu najświetniejsze obietnice, starano się wyzyskać prywatne jego niedole, jednem słowem: chciano go sobie kupić. Pisze o tem do brata swego Franciszka 9 maja 1844. r.

„...Położenie tu moje jest trudne i pracowite w obec Francuzów i rodaków. Wszakże mógłbym już w ziemi wygodnie ugrzęznąć, bo powiem, (tobie tylko,) że mi tutejsze ministerjum dałoby pensję powiększoną znacznie, i uwolnienie od służby, bylebym sam chciał przestać służyć sprawie, której służę. Mógłbym już drogo przedać się. Ale to samo sumienie, które mi nie dozwoliło szukać karjery w Rossji i tyż w Luzannie, nie daje mi zatrzymać się na drodze...*)“

W kilka lat potem pisze w tym samym przedmiocie do hr. Józefa Grabowskiego:

„Jestem dotąd w kolegjum Francuskiem, ale na połowie pensji. Żyć jednak dotąd mam z czego, żyjąc z dnia na dzień. Mogłem tu był zrobić sobie położenie wygodne a nawet świetne, ale pod warunkiem wyrzeczenia się żywotnej mojej zasady.**)

W ten sam sposób pisał w r. 1847 do brata Franciszka i do przyjaciół.

VIII.

(Korespondencja ks. Hubego. — Wyjazd Mickiewicza do Szwajcarji. — Nieporozumienia z Towiańskim. — Przyczyny tych nieporozumień. — Mickiewicz w Rzymie. — Legiony. — Dalsze losy towiańszczyzny. — Ks. Duński i pułkownik Różycki.

Mickiewicz od czasu pobytu swego w Rzymie szczerze był religijnym, a nawet jakeśmy widzieli, miał zamiar zostać księdzem. Poznanie się z Towiańskim i przyjęcie jego doktryny, w niczem — że tak powiemy — w praktyce nie zachwiało nabożności poety. Miał i teraz jak dawniej szczególne nabożeństwo do N. Marji Panny. W r. 1842, pisze do Januszkiewicza:

„Mój Eustachy, proś odemnie Romualda, żeby postarał się dla mnie na jutro o medalik, niech go poświęcić każe i pomodli się nad nim, a jutro będąc u ciebie, wezmę go. Mam go dać jednemu z braci. Życzliwy Adam.“

Jako zwolennik Towiańskiego, w gruncie nie wyrzekł się wcale wiary, a to co się okazuje w prelekcjach jego, jest raczej walką z duchowieństwem, niż religją, jest chęcią podniesienia chrystjanizmu, chęcią sprowadzenia go do czasów pierwotnych prawdziwie Chrystusowej miłości, Chrystusowej prostoty, niż dążeniem do przewrotów w religji. Ztąd też występywał wszędzie i zawsze jako wierny katolik i takim się zawsze mienił w obec duchowieństwa. Ks. Hube*) więc na tej zasadzie, że Mickiewicz katolicyzmu się nie wypiera, wchodzi w nim w styczniu 1846 w korespondencję, i żąda w swych listach, aby potępił „Biesiadę“ i odwołał to, co w prelekcjach przeciw duchowieństwu i hierarchji kościoła wypowiedział. Mickiewicz z cierpkością pewną, dość niecierpliwie staje w obronie własnej i „Biesiady“ mimo, że ks. Hube grozi oddaniem jej i prelekcji Mickiewicza pod sąd kościelny odmówieniem sakramentów zwolennikom Towiańskiego itd.

Prawdopodobnie okoliczność ta spowodowała Mickiewicza do wyjazdu do Szwajcarji, w lutym 1846 r. dla porozumienia się z Towiańskim. Atoli niedługo potem zaszły jakieś niesnaski pomiędzy nimi. Wprawdzie już przedtem dawali się słyszeć Towiańczycy, że „mistrz“ nie bierze na się za wszystko odpowiedzialności, co Mickiewicz mówi w prelekcjach swoich, i widocznem było, że poeta nie ze wszystkiem jedną z mistrzem szedł drogą; ale dopiero w r. 1846 nieporozumienie to zupełnie się objawiło.

Gdy materjały wszelkie do tej sprawy pozostają w ukryciu, możemy jedynie opierać się tu na dwóch listach z maja 1847 między Mickiewiczem i Towiańskim wymienionych. List Towiańskiego z 1. maja, ma w sobie wyraźne znamiona pewnego niezadowolenia „mistrza“ z powodu zachowania się Adama w „sprawie.“ Dlatego też zaleca mu skupienie ducha, aby „Majowa łaska“ spłynęła nań i uczyniła odpowiednim przeznaczeniu. Chrystus woła „na sługę swojego, aby zatarte prawo ducha twojego w duchu wskrzesił, w człowieku i w czynach ożywił...“ Następnie wylicza mistrz zasługi Adama dla sprawy położone i przypomina gorliwą jego dla niej działalność, a potem w tonie poniekąd przepraszającym przemawia:

„Kiedy dla wielkiego wysilenia złego, zasępiło się to, co tak jaśnie zaczęło, nie opuszcza nadzieja zbolałego ducha mojego, że piekło nie dostąpi tryumfu, aby zasępienie nie rozjaśniło się na nowo, i abyśmy współtowarzysze świętej służby, nie podawszy sobie bratniej ręki, stanęli przed sądem Bożym, jak duchy rozdzielone z sobą...“

Odpowiedź, jaką na list ten posłał Mickiewicz 12. maja*), o wiele wyraźniej wypowiadać się zdaje owe nieporozumienia, a nawet — o ile przypuszczać można — rzuca światło na jego przyczynę.

Już sam początek listu mówi wyraźnie o zachwianiu się „sprawy“ i „Braci.“

„Mistrzu i Panie — pisze Mickiewicz. — Sam widok pisma Twojego, ruszył mię radością, którą Słowo Twoje w nas zwykle budzi. Radość to nie była pełną i Bogu tylko wiadomo czy będzie trwała...“ „po pierwszych zejściach się, zapalił się duch mój i inni Bracia porywali się na zwiastowanie Sprawy. Twoja siła, z ofiary idąca, wszystkie te iskry w jeden płomień objęła. Ten płomień i później nieraz silnie z nas wybuchał i długo gorzał...“ „położenie nasze bardzo utrudnione.“

Od czasu oddalenia się Mistrza brakło harmonji między „Urzędami ziemi i słowa“ (zapewne wódz ziemi: Różycki i wódz słowa: Mickiewicz, niezgadzali się wzajemnie); posłannictwa nie spełniano należycie, zapał był „przemijający“ — a często „udany“ i braci zaczęto terroryzować, zadawano im cierpienia,

„aby widokiem ich mąk tragicznie rozrywać się. Doszło było do tego, że wyzywający podobni stali się do słabnących tyranów, którzy tylko w krwawej kąpieli ciepło znajdują. Brano kąpiele z ducha bratniego! Im czuliśmy mniej w sobie swobody, siły, życia, tem mocniej wołaliśmy o życie. Wydobywaliśmy życie sztuczne: kazaliśmy Braciom robić ruchy, często ze stanem ich wewnętrznym niezgodne i odejmowaliśmy Braciom ostatnią już wolność, szanowaną przez wszelkie tyranje, wolność milczenia...“

a jednak bracia przez cześć dla Mistrza pozostali w „kole.“

„Kiedy nam dokuczyło trudne położenie na ziemi, musiliśmy brać do robienia rozruchów, do zaczęcia rewolucji, nie badając wcale czy to zgodne jest z myślą Bożą, i czy podobne? Ociągających się Braci obwinialiśmy o niedołężność; ale sami nie mieliśmy ochoty nadstawić się, mówiąc otwarcie, żeśmy na coś większego powołani...“

Kiedy brakło siły naturalnej przyciągania,

„.....chcieliśmy brak fizyczny zastąpić fukaniem, krzykiem; a kogo nie mogliśmy wystraszyć, ogłaszaliśmy zaocznie za zbrodniarza i buntownika...“

„Zaprowadziliśmy władzę najsmutniejszą jaka jest na globie; władzę, którą w kraju naszym mają ochmistrzynie, ekonomowie i ludzie dworscy i panicze goście nad chłopami władzę najsmutniejszą, bo ona zna tylko doniesienie kary, bo tam nie ma skargi, obrony, wysłuchania, sądu i wyroku...“

Kto się poddać nie chciał takiemu stanowi rzeczy, tego prześladowano, straszono „karami Bożemi.“

„Cieszyliśmy się, kiedy brata ból, lub nędza dotknęła; odpychaliśmy go, deptaliśmy. Stawaliśmy się podobni trzodzie wilków, która towarzysza rannego rozdziera i pożera.“

„Wszystkie nadużycia, które były w dawnej Synagodze Izraela, wszystkie te, których dopuścił się w ciągu wieków Urząd kościelny, prędko wśród nas przeowocowały. Duch czuł ze strachem ziarno na przyszłość nadużyć gorszych niż te, które skalały jaskinie mahometańskich Assasynów, klasztory Jezuickie i ciemnice Inkwizycji Świętej.“

„Widzieliśmy przykład, że grzechy Brata wspólce Bratu sakramentalnie zwierzone, były objawione drugim, bez spółki ducha z pokutującym. Przykład w dziejach zbrodni nowy.“

„Mistrzu i Panie! Po tem wszystkiem trudno nam wrócić do tego zaufania, do tej szczerości, z jakąśmy się zeszli przed laty; a bez niej nie ma płomienia, nie ma Czynu. I nie wrócimy tam, aż każdy z nas poczuje co przewinił, wewnątrz siebie to odwoła...“

*) Kor. A. Mick. T. I str. 203.

**) Z listu z 22 stycznia 1847. kor. A. Mick. T. I str. 208.

*) Pod wpływem religijnego ducha Mickiewicza, poświęcili się stanowi kapłańskiemu ks. ks. Hube, Kajsiewicz, Semeneńko. Korespondencja z ks. Hube znajduje się w T. I na str. 206 — 208.

*) Oba te listy znajdują się w całości w I. t. korespondencji Mickiewicza (Paryż 1870) na str. 214—218.

Wobec tajemniczości, jaką osłaniała się towiańszczyzna i w skutek braku wyjaśniających rzecz materjałów, nie można żadnych stawiać pewników i ostatecznie rzeczy rozstrzygnąć, ale to — co dotąd wiadome, jeżeli porównamy i zestawimy z sobą, zyskamy podstawę do przypuszczenia, że wypadki 1846 były powodem nieporozumienia między Towiańskim i Mickiewiczem.

Z listu widzimy, że już dawniej działy się rzeczy w towiańszczyźnie, nad któremi ubolewał Mickiewicz, a nie ulega wątpliwości, że w roku 1845 uczniowie Towiańskiego, bądź z własnej inicjatywy, bądź z natchień mistrza, bratali się z ruchem socjalnym, pomagali radykalnym zapędom i ostentacyjnie podnosili sprawę ludową w Polsce. Czynili to — być może przez doktrynę swoją zniewoleni, która do czynów wzywała, zapowiadając wypadki ważne, chwilę zbawienia itd. Te zapowiedzi i stanowcze obietnice, że emigracja prędko wróci do wyswobodzonego kraju, trzeba było koniecznie spełnić, aby niecierpliwą emigrację o prawdziwości słów mistrza przekonać. Ruch knowany — nastręczał do tego sposobność. Jeżeli przypomniemy sobie gorącą obronę tego ruchu, z jaką wystąpił Słowacki, pisząc „do autora trzech psalmów," jeżeli weźmiemy na uwagę słowa z listu Mickiewicza: „Kiedy nam dokuczyło trudne położenie na ziemi, musiliśmy Brać do robienia rozruchów itd.," to nawet moglibyśmy przypuszczać, że inicjatywa tej rewolucji wyszła z towiańszczyzny. Położenie jej było „trudne," bo domagano się spełnienia przepowiedni czynów, powrotu do kraju, wyswobodzenia ojczyzny — trzeba więc było „zmuszać do rewolucji."

Może też i to było powodem — obok korespondencji z ks. Hube — że Mickiewicz w lutym 1846 udał się do Szwajcarji do mistrza, gdzie się też z największą boleścią o wybuchu powstania dowiedział. (C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Walka tygrysa ze słoniem jest bardziej urozmaicona. Z jednej strony idą w zapasy zwinność i dzikość, z drugiej siła, rozwaga i chęć zemsty. Tygrys rzadko zdoła sam jeden pokonać słonia, za to go oślepi i okaleczy; słoń nie zawsze dosięgnie kłami swego nieprzyjaciela, ale go ubije, zmiażdży lub udusi.

Widziałem jak trzy słonie drżały z przerażenia, usłyszawszy ryk królewskiego tygrysa, którego z klatką postawiono na środku areny. Stopniowo ochłonęły z przestrachu i pobudzone przez swoich dozorców puściły się w pogoń za nim. Była to gonitwa piekielna, fantastyczna. Tygrys w szalonych skokach dopadał jednego po drugim, wysilając się napróżno uczepić karku aby oczy wydrapać. Zaledwie wskoczył na którego, razy dobrze wymierzone trąbą spędzały go niechybnie ze stanowiska. Słonie były zakrwawione, uszy i trąby porozdzierane; tygrys miał członki połamane, zdruzgotane kości i nie mogąc już nic zrobić, usunął się co prędzej do swej klatki; tam przeciwnicy jego nieśmieli go więcej niepokoić.

Innym razem puszczono dwa wspaniałe lamparty przeciw jednemu staremu słoniowi. Wiedzione instynktem podstępu, drapieżniki zaatakowały z tyłu nieprzyjaciela unikając jego kłów, trąby i uderzeń nogami. Słoń dla swej budowy nie mogąc ani głowy wykręcić, ani wpół się obrócić, skakał w tę i w ową stronę przednim korpusem ciągnąc za sobą tygrysy uczepione zębami i pazurami. Jeden z nich puszcza na raz tylną jego nogę i w dzikim skoku sadowi się na grzbiecie; słoń trąbą okłada z dwóch ston lamparta, starając się uchronić oczy od wydrapania; potem ukląkł i w tej postawie czekał chwil parę. Nagle przewracając się na bok, a następnie w znak, rozgniótł sobą jednego lamparta, od drugiego zaś uwolnił się uderzeniem nogi rozbiwszy mu piersi, poczem odrzucił go bez życia na dziesięć kroków od siebie. Krótka ta walka odbyła się przy akompanjamencie przeraźliwego wycia; nakoniec bohater podniósł się z ziemi, i kolejno na końcu trąby obnosił rozmiażdżone szczątki lampartów, trofea swojego zwycięstwa.

Na wolności tygrys chociaż zdolny obronić się od każdego zwierza, chętnie używa wpierw podstępu, nim do otwartej stanie walki. Ileż to młodych słoni z nienacka napadniętych, ginie pod pazurami tego strasznego drapieżnika. Zdarza się także, że kilka tygrysów zaczajonych rzuca się na słonia wałęsającego się samotnie opodal od stada. Ryk konającego zwołuje w pomoc braci; tygrysy ukrywają się przez ten czas i na rozpoczęcie biesiady czekają, aż stado się oddali.

Mówiąc, że lew i tygrys są jedynemi przeciwnikami mogącemi się zmierzyć ze słoniem, zapomniałem o nosorożcu. Ten chociaż mniejszy wzrostem, ma tułów potężny i takiej samej prawie ciężkości co słoń; przytem jest dzikszy, a raniony z większą niż tamten walczy zaciekłością. Kształty nosorożca są ciężkie, niezgrabne i brzydko zarysowane. Głowa trójgraniasta z kością nozdrzową wypukłą, warga spodnia długa i cienka, wierzchnia jeszcze dłuższa i spiczastsza służy mu wybornie do łapania młodych wypustków, gałązek, ziarnek i owoców któremi się żywi. Budowa jego nie przechodzi 9 do 10 stóp długości na 5 do 6 wysokości. Ogon krótki i mizerny, róg zaś w który jest uzbrojony, ma czasem jeden metr długości mierząc z korzeniem. Jest on brunatno czerwony z wierzchu, wewnątrz koloru żółto złotego, wpadając w brunatny ku środkowi. Ukształtowanie tego roga składa się z włókien sklejonych między sobą, które schnąc rozszczypują się; ztąd nie używają go do kosztowniejszych wyrobów, przeznaczając go tylko na same czary, rękojeści od sztyletów i pałaszy; zabobonni krajowcy przypisują tym rogom nieprawdopodobne własności. Głos nosorożca jest słaby i głuchy, gdy go jednak co rozdrażni wpada w ton ostry i rozgłośny. Jak prawie wszystkie dzikie zwierzęta jest i on obdarzony słuchem nadzwyczaj bystrym a węchem bardzo delikatnym; to też mieszkańcy tamtejsi gdy mają przechodzić szlaki uczęszczane przez tygrysy słonie i nosorożce, nacierają sobie ciało roślinami balsamicznemi, i starają się jak najciszej prześliznąć, niebudząc uwagi groźnych nieprzyjaciół. Niemniej jednak silny odór wydzielający się ze skóry Indusów jest tak przenikliwy, że stosunkowo dużo więcej ginie krajowców aniżeli Europejczyków.

Wróćmy teraz do walki nosorożca ze słoniem, której miałem przyjemność być przytomnym. Słoń pierwszy wprowadzony na środek areny ujrzawszy nosorożca, nasrożył się i dawał widoczne oznaki niezadowolenia, gdy tymczasem ten ostatni, wszedłszy oparł się niedbale o ścianę palisady środkowej i skierował osłupiały wzrok na spektatorów. Służba poczęła zachęcać go do bójki wypuszczając strzały, które wszystkie odbijały się od skóry niby pancerza naturalnego, a gdy to nie pomogło wzięto się do rac. Czy sparzony, czy tylko zaniepokojony gazem który go dusił, nosorożec wstrząsnął głową, zastrzygł uszami i wydając grobowy ryk puścił się na przeciwnika; słoń poruszył się jednocześnie. Oba te przedstawiciele gruboskórnych, raz w pędzie nie mogą się ani nagle wstrzymać, ani obrócić, ani w bok skręcić; spotkały się więc frontem. Róg nosorożca był co najwięcej długi 3 stopy, kły słonia dochodziły do 6 blisko. Taka nierówność zdawała się zapewniać zwycięstwo temu ostatniemu; ale nosorożec biegnąc zakreślił linię krzywą, i w tym ruchu skośnym kły słonia zamiast wbić się w szyję lub piersi, uderzyły z całej siły o łopatkę pokrytą najtwardszą płytą skórnego pancerza i pękły, a kawałki pozostały utkwione w ciele. Otrząsając się nagle z odurzenia, nosorożec rzucił się w lewo, napadł na słonia, ruchem gwałtownym rozdarł mu rogiem bok i tracąc równowagę potoczył się na ziemię. Przeciwnik raniony wydał przeraźliwy ryk i w kilka minut legł o kilka kroków od swego nieprzyjaciela: oba kąpały się w krwi kałużach. Służba daremnie wysilała się podźwignąć którego z nich; żaden już nie powstał. Słoń był zabity, nosorożec zakończył życie nazajutz.

Walki dzikich i drapieżnych zwierząt, taniec bajader, roskosze haremów, sztuki kuglarskie, skoczkowie, czarnoksiężniki, haschisch, albo ganjha, oto zbiorowy obraz poziomych uciech większej części monarchów Indji.

VII.

(*Wyprawa do gór Mahoo-Thung. — Słonie dzikie. — Niebezpieczne polowanie. — Okularnik. — Położenie kraju. — Płukanie i przesiewanie złota. — Złodziej. — Polowanie na kazoary.*)

W Mandelay zapoznałem się z takim samym jak ja awanturnikiem, Francuzem z urodzenia, który po kilkakrotnych wyprawach do Australji i Kalifornji w celu podreperowania fortuny, roztrwonionej w Paryżu z młodocianą lekkomyślnością, osiadł w Birmanji z zamiarem otworzenia jakiego zakładu przemysłowego, do czego miał niepospolite zdolności. Znakomitej rodziny — o czem później się dopiero dowiedziałem — ukrywał nazwisko swoje pod przybranem imieniem Van Broogh'a, a pozyskawszy względy Yasy Mendoon-Mheng, rozpoczął swoją działalność handlem drzewa tecku. Następnie zwrócił uwagę na bogactwa mineralne kraju dotąd nieużytkowane, przedsięwziął starania w tym kierunku, a dostawszy przyzwolenie rządu wybrał się z eskortą w góry, które wskazano mu jako zawierające obfite pokłady złota i innych minerałów, dla zbadania na miejscu, czy eksploatowanie tych kopalń będzie zyskownem przedsiębiorstwem.

Żałowałem niezmiernie, że właśnie wtedy nie mogłem mu towarzyszyć; tymczasem nie minęły dwa tygodnie a ujrzałem go z powrotem w okropnym stanie wycieńczenia. Febra lasowa, pośrednia między tyfusem a zgniłą gorączką, i zawsze prawie śmiertelna dla Europejczyków, złapała go w drodze i zmusiła zaniechać dalszej podróży. Żeśmy się zaprzyjaźnili, zaprosiłem go więc do siebie i pomieściłem w wygodnym poko-

ju, otaczając staraniami, które osiągnęły skutek, bo szczęśliwie wyszedł z niebezpieczeństwa.

Rekonwalescencja trwała długo; w tych chwilach powrotu do zdrowia często przesiadywałem w jego pokoju dotrzymując mu towarzystwa i słuchając szczegółów wyprawy, tak nieszczęśliwie przerwanej. Między innemi opowiedział mi o stadach słoni, które spotkał pasące się w lasach i na błoniach. Pragnąc od dawna widzieć słonia dzikiego, aby zbadać jego zwyczaje w stanie oswojenia, postanowiłem skorzystać z najpierwszej nadarzającej się ku temu sposobności. Opowiadanie Van Broogh'a zdecydowało mię ostatecznie; ofiarowałem się w jego miejsce dokonać podróży, na co on z chęcią przystał, a gdyśmy otrzymali przyzwolenie ministra, którego ta sprawa obchodziła, nie długo stanąłem gotów do podróży z eskortą 50 żołnierzy, ale jakich żołnierzy, Boże zlituj się! i moimi sługami Józefem i Desiré. Byliśmy wszyscy na koniach: ja, moja służba i eskorta; prócz tego mieliśmy z dziesięć jucznych koni i bawołów, niosących nasze bagaże, broń, naczynia kuchenne i zapasy żywności.

Karawana skierowała się ku górom Mahoo-Thoung, końcowej odnodze Himalajów przerwanej ostatecznie rzeką Khyeuduen. Zaręczono Van Brooghowi, że tam znajdzie obfite żyły złota; nie wątpiłem bynajmniej o prawdzie tych słów ale z tem wszystkiem byłem przekonany, że rząd mógł mu wskazać bliższe pokłady. Prawdopodobnie bano się kolonji Europejczyków nadto blisko stolicy; z drugiej strony, że Van Broogh był dość zadowolony z położenia miejscowości, więc przyjął zaproponowany punkt mimo jego oddalenia.

Jakie koła, zbaczania, zakręty, trzeba robić podróżując po Birmanji, gdzie brak dróg wyciętych, w to by nikt nie uwierzył. Szóstego dnia po mozolnej podróży rozłożyliśmy się obozem na wzgórzu, oświetleni promieniami chylącego się ku zachodowi słońca: Desiré rozpinał mój namiot i doglądał pakunków; Józef kręcił się około przyrządzenia kolacji, ja zaś rozglądałem się po okolicy, bo była piękna, imponująca dzikością swojej bujnej roślinności.

Od północy ciągnęły się lasy tecku — te olbrzymy natury, rozpościerające ciemną zieloność na nieprzejrzaną okiem przestrzeń, zwaną krainą tecku. Na zachodzie w sinych strzępach wychylały się góry Mahoo-Thoung, przedzielone od nas dolinami i rzekami, które zbiegając się do Khyenduen, toczyły wody swoje i wlewały je do Irawady dwadzieścia mil poniżej Mandelay. Od wschodu rysowała się szerokim pasem rzeka Irawady urozmaicona wyspami, kapryśnemi zakrętami i ławami piasku, której brzegi raz łagodnie zaokrąglone i powabne, to znowu puste i dzikie zamieniały się w odłamy skał, ścięte prostopadle granity i potargane gliniaste ściany.

Za nami leżały płaszczyzny, któreśmy minęli, poprzecinane uprawnemi polami, plantacjami ryżu, kukurydzy, indyga, bawełny, drobnego sesame i urozmaicone bukietami drzew pomarańczowych, rozpiętych szpalerów betelu, grupami tamarynd, licznemi odmianami palm, drzewami arecku gumowemi, i całej gromady najbujniejszej wegetacji. W pośród łanów uprawnych ręką ludzką, ciągną się puste stepy, i gdzie niegdzie ogrodzenia okalające królewskie banany, zwane także bananami mędrców lub rajskiemi. Wreszcie w pośród najeżonych krzaków i kolczastej trzciny rotangu, wyrastają drzewa mangowe, gojawowe, rozmaite gatunki fig i palm, i tyle innych krzewów krajowych, które daremnie szafują swemi bogactwami soków, owoców i kwiatów, by służyć jedynie za schronienie tygrysom despotycznie panującym pod cienistemi ustroniami gęstwin. Ryk rozdzierający powietrze dnia poprzedniego towarzyszył naszej podróży; dopiero od rana kiedy weszliśmy w okolicę mniej dziką, przestał nas już niepokoić.

Gdzie niegdzie jeszcze ukazywały się wsie kapryśnie ugrupowane ze swemi pagodami złocistemi, które jak meteory błyszczały w promieniach chylącego się słońca. Na widok tego pięknego i bogatego krajobrazu, niewymowny smutek ogarnął moją duszę. Zapytywałem się, czy Bóg dla tego wysypał skarby natury na tę ziemię, by były jedynie udziałem rasy ogłupiałej ciemnotą, spodlonej zabobonem, zniewieściałej gnuśnością i żyjącej w poniżającem próżniactwie? Skutki niestety nieuniknione despotyzmu, pod jakim od lat niepamiętnych wegetuje ta nieszczęśliwa ludność.

(C. d. n.)

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

CZĘŚĆ DRUGA.

IV.

Po ostatniej wycieczce Herminy do Romanówki i jej powrocie w towarzystwie Edmunda, panna Marjanna miała w garderobie dłuższą pogadankę z groomem hrabiny. Chłopiec, który do niej napróżno od roku gorącemi płonął afektami, uszczęśliwiony nagłą poufałością swego ideału, zaczął długo i szeroko opowiadać co widział owej nocy. Zeznania pleciugi musiały być ważne, bo gdy skończył, panna Marjanna omało go nie uściskała i zaraz nazajutrz otrzymawszy pozwolenie od swojej pani, udała się do Wolicy pod pozorem zasięgnięcia rady matki w jakiejś ważnej sprawie. Tu odbyła się najpierw krótka rozmowa między matką a córką, a gdy panna Marjanna odjechała do domu, poczciwa Pędrasia udała się natychmiast do majorowej na drugą i nierównie dłuższą konferencję.

Po wyjściu klucznicy, pani majorowa pojawiła się na ganku z twarzą nadzwyczaj rumianą i doniosłym głosem rozkazała Walentemu, by natychmiast zaprzągł do powozu. Wkrótce czwórka dzielnych szpaków wiozła panią Zawilskę do Romanówki.

Młodzi byli w domu, zajęci właśnie czytaniem listu od ojca. Major donosił dzieciom kochanym, że z Cieplic wysłali go lekarze najpierw do innych wód, a potem do Ostendy, zkąd znowu na całą jesień był zmuszony wybrać się do Węgier na kurację winogradową. Chcąc ile możności zdrowie poprawić, aby jak najdłużej cieszyć się szczęściem swoich dzieci i wnuków, pan Zawilski nie sprzeciwiał się lekarzom, i dobrze zrobił, bo teraz czuje się znacznie lepiej. Jeżeli Bóg pozwoli — kończył major — w drugiej połowie września ujrzycie mnie młodszym o lat dwadzieścia. Tymczasem żegnam was drogie dziatki, niech Bóg miłosierny roztacza nad wami swoją opiekę, kochajcie się, bądźcie szczęśliwi, i pamiętajcie o waszym ojcu!

Tonia spłakała się nad listem; Edmund miał także łzy w oczach.

Gdy majorowa przyjechała, Tonia z okrzykiem: — Mateczka! ach! jaki gość rzadki! — rzuciła się jej na szyję. Mąż był mniej czułym; zabawiwszy z żoną i świekrą jakiś czas w salonie, poszedł do swego pokoju. Matka wzrokiem zięcia do drzwi odprowadziła — uważnie przypatrywała się córce, od czasu do czasu rzuciła nie zbyt jasne zapytanie, na które Tonia wymijającą dawała odpowiedź, kręciła głową dwuznacznie, popieściła się chwilę z wnukiem i prędzej niż może wypadało, wyjechała z powrotem.

W tym samym tygodniu rozpoczynał się w miasteczku powiatowem wielki jarmark na konie. Najznakomitsi koniarze krajowi i zagraniczni, zjeżdżali się w tym czasie do ***. Przez całe dwa tygodnie powiat nie zajmował się niczem innem, tylko końmi, ich ceną, zaletami i wadami. Po oberżach ścisk był niesłychany, faktorowie biegali jak opętani, obywatele starsi sprzedawali i kupowali, a młodsi przedewszystkiem pili kwaśnego szampana i grali w djabełka, który dzięki panu Damazemu został instytucją powiatową.

W pierwszych dwóch dniach, jak karnawał w początkach, jarmark był mało ożywiony; dopiero trzeciego dnia zjazd był jeneralny; w tym też dniu Edmund wybrał się do miasteczka z jednym ekonomem, który słynął w całej okolicy ze znajomości koni, w celu pozbycia się dawnej czwórki, a zastąpienia jej nową. Ekonom pojechał naprzód; Edmund z Grzesiem wyruszył za nim lekkim wózkiem węgierskim.

Droga do miasteczka prowadziła przez Warnowce. Gdy zbliżyli się do miejsca, zkąd alea topolowa wiodła do pałacu, Edmund nagle zawołał, aby Grześ skręcił na lewo.

— Gdzie, proszę jaśnie pana? — zapytał chłopiec, jakby nie słyszał pierwszego wezwania.

— Na lewo, mówię.

— Do pałacu?

— Nie rozumiesz? Na lewo!

— Ale czy się nie spóźnimy, proszę jaśnie pana?

— A tobie co do tego urwisie! Jedź gdzie każę!

Głos Edmunda był wzburzony. Grześ długo skręcał i na konie cmokał zanim powiodło mu się wjechać w aleję. Gdy stanęli przed pałacem, Michałek, który i dziś z braku zajęcia używał świeżego powietrza, przyskoczył natychmiast do wózka oznajmić, że pani hrabiny nie ma w domu.

— Pojechała? — zapytał Edmund.

— Pojechała z panem rządcą na jarmarek, bo chce sobie kupić takiego konia, co łapie zające. Ale pan hrabia jest u siebie.

Edmund zawahał się czy wysiąść, czy odjechać, i byłby może gwałcąc wszelkie formy towarzyskiej przyzwoitości nie zaglądnął do hrabiego, gdyby nie okoliczność, że w tej samej chwili na balkonie pierwszego piętra ukazał się oryginał.

— A! pan Krzemiński — zawołał — bardzo mi miło, bardzo... Proszę, proszę!

Trudno było nie odpowiedzieć na takie wezwanie; Edmund poszedł jak na ścięcie.

Hrabia przyjął gościa w głównym salonie parterowym bardzo grzecznie, ale tak chłodno, że można go było posądzić o sarkazm utajony.

— Sąsiad dobrodziej łaskaw na nas, bardzo łaskaw... Gdyby nie pan, umarlibyśmy z nudów.

Ale jak się tam ma pani dobrodziejka, jak synek?

— Dziękuję, zdrowi... moja pani zasyła swoje ukłony.

— Stokrotne dzięki, stokrotne... rzadka kobieta, święta kobieta! Ale że też kochany pan może tak często z domu wyjeżdżać, mając takiego anioła.

Nagły ten zwrot zmięszał Edmunda.

— Wyjeżdzam, gdy konieczność wymaga....

— Konieczność?... A jaka to konieczność, jeżeli łaska — he?

Oryginał przysunął się do Edmunda, prawe ucho do niego ciekawie wytężając, przyczem czoło zmarszczył i brwi ściągnął.

— W interesach.... Czasem także by się rozerwać.

— W interesach pół biedy jeszcze, ale żeby się rozerwać... to źle, bardzo źle! Rozrywkę powinieneś pan znaleść w domu własnym, na łonie rodziny. Montesquieu powiedział, że absolutyzm rządzi postrachem, monarchja honorem, a republika cnotą. W czasach patrjarchalnych rodzina była rządzona absolutnie, potem monarchicznie, teraz po republikańsku. Dziś głowa rodziny to prezydent, który cnotę powinien stawiać najwyżej. A jaka to cnota, kochany panie, jeśli po za domem szukasz rozrywek, jeżeli tak często porzucasz żonę i dziecko?

— Panie hrabio! — przerwał Edmund powstając i tylko z trudnością wewnętrzny gniew powstrzymując — nie od dziś uważam, że moja osoba jest panu nie miłą i gdyby nie okoliczność że chciałem zapytać panią hrabinę czy nie ma jakiego polecenia do miasta, nie byłbym teraz narażony na zniewagę.

Oryginał wysłuchał cierpliwie i ani jeden muskuł w jego twarzy nie zdradził, by słowa Edmunda zrobiły na nim jakiekolwiek wrażenie.

— Wiem ja mój łaskawco — odrzekł — wiem doskonale, że nie dla mnie tu dziś przyjechałeś, boś dla mnie nigdy nie przyjeżdżał, i właśnie to mi się nie podoba. Ale siądź pan, proszę, bardzo proszę... i słuchaj cierpliwie, bo ja stary a pan młodziutki jeszcze... mógłbym ci być dziadkiem... znałem twoich rodziców i widziałem cię przy piersi. Ale wróćmy do rzeczy. Powiedziałeś pan, że szukasz rozrywki, więc się chyba nudzisz, he? Rozumiem, rozumiem, twoja żona zbyt dobra, zbyt szlachetna, przykrego słowa z jej ust nie słyszałeś, więc dla tego się nudzisz... ale nudząc się czemu nie oddasz się jakiemu zajęciu, czemu nie czytasz, nie piszesz, he? Przecie skończyłeś uniwersytet, nie jesteś hreczkosiejem, a gospodarstwo samo nie wypełni ci czasu, bo masz rządcę, ekonomów... Czemu się do czego nie weźmiesz? Ale nie, panicz ożenił się z najpiękniejszą i najlepszą dziewczyną, a teraz nudząc się pędzi...

— Panie hrabio!

— Nie unoś się, nie unoś kochanku, to się na nic nie przyda! Wy mnie macie za oryginała, warjata, głupca, Bóg wie za co, ale ja mam oczy za was i za siebie. Wiem ja co się dzieje, ale wpierw tu na mojej dłoni włosy wyrosną, nim zrobisz jakie głupstwo!

Hrabia mówił szybko, dobitnie, mierząc ciągle młodego człowieka wzrokiem przenikliwym, pod którego wpływem magicznym on swoje oczy w dół spuścił.

— Czy pomyślałeś ty kiedy o poczciwym waszym ojcu, he? Coby on powiedział, gdyby zobaczył co tu się dzieje, he? Umarłby, umarł ze zgryzoty.. A dowiedz się także, że tylko ty warjujesz... tak, tak, tylko ty... Ale prawda, mówiłeś coś o hrabinie. E! ona już pojechała i nigdy tu nie wróci. Wierz mi, nigdy...

Edmund podrażniony w najwyższym stopniu byłby może co odpowiedział, ale hrabia jakby uprzedzając jego zamiar, powstał szybko, przystąpił doń i ujął go za rękę.

— Nie gniewaj się mój chłopcze jeśli jaką przykrość usłyszałeś... Ja wiem, że to obłęd chwilowy, w tobie gra krew młoda. Prawdę powiedziała Hermina, że młode piwo musi wyszumieć, i tylko to mię boli, że szumi właśnie teraz i wśród takich okoliczności... Ale tyś dobry Edmundzie, ty masz honor!

Edmund stał jak skazaniec. Czuł, że zaprzeczenie byłoby śmiesznem, usprawiedliwianie się grzesznem.

— Bądź teraz zdrów panie Edmundzie, i jeśliś mężczyzna, wróć prosto do domu, jarmark odbędzie się i bez ciebie!

Młody człowiek wyszedł, siadł na wózek i kazał zaciąć konie. Wstyd palił mu policzki, namiętność sypała żar w żyły. Gdy dojeżdżał do końca alei topolowej zawołał na Grzesia, by wstrzymał konie. Na prawo wiodła droga do Romanówki, na lewo do miasteczka. Po kilkakroć potarł czoło, by zebrać myśli rozbite, spojrzał na obie drogi, przygryzł usta do krwi, nareszcie krzyknął:

— Na lewo!

W chwili gdy Edmund wychodził z salonu, hrabia zadzwonił na służącego, któremu polecił, by natychmiast zaprzężono do powozu. Mąż Toni nie wjechał jeszcze na drogę prowadzącą do miasteczka, gdy hrabia pędził już drogą inną, przez wieś, prosto do Romanówki.

Widok wchodzącego hrabiego ucieszył i zadziwił Tonię. Ucieszył, bo mimo całej jego oryginalności miała dlań sympatję, tem większą, że znała go od dziecka jako przyjaciela swego ojca, a zadziwił, bo p. Olpiński bardzo rzadko z domu wyjeżdżał i od pół roku nie był w Romanówce. Oryginał przywitał ją jak córkę, popieścił malca, który zrobił duże oczy na widok gościa nieznajomego, wypytywał o gospodarstwo, o zajęcia domowe, wreszcie o Edmunda, jakby go od niepamiętnych czasów nie widział. Gdy Tonia odpowiadała, wpatrywał się uważnie w jej bladą twarzyczkę, chcąc może zgłębić, czy mówi szczerą prawdę, a gdy wspomniała, że mąż pojechał na jarmark i prawdopodobnie wkrótce powróci, hrabia przerwał jej nagle słowami:

— Bardzo mię to cieszy, bardzo! Jak widzę jesteście szczęśliwi... lecz czemu kochana pani tak blado wygląda? Czy przypadkiem nie zmartwienie jakie?

— Nie... ale mój mały nie daje mi spać po nocach, na niańkę tak trudno się spuścić.

— To źle, bardzo źle! Kochana pani przy swojem wątłem zdrowiu powinnaś się szanować, w nocy wstawać jak najrzadziej. Jak skoro zobaczę męża, powiem mu, by panię wyręczał, kiedy na sługę nie możecie się spuścić.

— Nie czyń tego panie hrabio, bo Edmund gotów myśleć, że się skarżę... Zresztą sam pan przyznasz, że kołysanie dzieci po nocach nie jest zajęciem dla mężczyzny.

— Czemu nie? — podchwycił oryginał. — Albożto nie jego dziecko? Może jeździć po jarmarkach i po całych dniach próżnować, to w nocy może także wstać na chwilę i nie narażać żony. Ja to rozumiem, chociaż nie jestem żonatym, a może właśnie dla tego, że nim nie jestem... Moja pani kochana jest atoli nadto dobra, nadto pobłażliwa, a to źle... bardzo źle!

Hrabia pogroził jej palcem z uśmiechem tak czułym, na jaki mógł się zdobyć, potem mówił dalej:

— Wiem ja co to słabość, wiem i dla tego ostrzegam panią, byś była energiczniejszą. Ja naprzykład dla mojej siostrzenicy mam taką słabość, że przykrego słowa nie mógłbym jej powiedzieć, choćby na nie nawet zasłużyła... lecz ona nie zasługuje, nie... wierz mi kochana pani, to bardzo dobra osoba... Dla tego jeszcze raz powtarzam, więcej energji i krótko trzymać pana męża.

Tonia słuchała z oczyma w dół spuszczonemi. Hrabia widząc, że twarzyczka młodej kobiety bardziej pobladła, przeszedł szybko na inny przedmiot, i zaczął opowiadać rozmaite facecje, aby rozweselić piękną gosposię. Przeszło godzinę bawił oryginał w Romanówce, a chociaż dał nie jedną dobrą radę odnoszącą się do gospodarstwa domowego, ogrodu i dziecka, jednakże ani raz nie zacytował Montesquiusza. Snać wygodniej mu dziś było w roli człowieka niż uczonego. Po wczesnem objedzie hrabia wrócił do Warnowiec.

(C. d. n.)

Z Emanuela des Essarts.

Strumień.

Po żółtym piasku, przez łąk zielenie,
Srebrnym wężykiem, w mgliste przestrzenie,
Z Alpejskich sącząc się szczytów;
Jasny, przezroczy, jak łza dziewoi,
Nie odbijałem w topieli mojej,
Nic, oprócz niebios błękitów!

Człowiek.

W objęciach matki, w rodzinnem gronie.
Przez barwne szczęściem dziecięctwa błonie,
Spiesząc w dal mglistą przyszłości;
I ja też także, o mój strumieniu,
Nie odbijałem w duszy spojrzeniu,
Nic, oprócz jednej miłości!

Potok.

Zbiegłem kęs świata, z tej i z tej strony
Co chwila jakiś strumień spieniony
W moje przyjmując łożyszcze;
Rosnąc co chwila, i w mętnej fali
Obok pałaców, niejedno dalej
Odźwierciadlając też zgliszcze!

Człowiek.

Zdala od swoich, przeżywszy lata,
Z szkoły doświadczeń, z życia, ze świata,
Różne przyjmując wrażenia;
I jam też także, o mój potoku.
Tak złe, jak dobre w duszy mej wzroku,
Odbijać zaczął natchnienia!

Rzeka.

Stałem się rzeką, i kiedy w dumie,
Majestatycznie rwę się i szumię,
Słyszysz ten łoskot w fal głębi?
To doczesnego koniec istnienia,
To kres potoku, rzeki, strumienia...
To morze otchłań swą kłębi!

Człowiek.

Stałem się człekiem, i gdy szalony
Myślę użęte spożywać plony,
Z lekcji korzystać żywota;

To i mnie także, o moja rzeko,
Do mego morza już nie daleko,
Otwarte cmentarne wrota!

Paryż d. 15 Kwietnia 1876. Naśladował
J. S. Chamiec.

Obrazy z Ameryki.

F. GERSTAECKERA.

I.

„Trzydziestego pierwszego lipca o godzinie 10tej przed południem, odpłynie do St. Louis wspaniały i nieprześcigniony parowiec „Oceanic," G. Wilkens master. P. T. interesowani pasażerowie i ekspedjenci towarów, raczą zgłaszać się wprost na pokład lub do ajentów: Smith i Richfield — *Customhouse Street,* Nr. 52. *New-Orleans.*"

Tej treści było ogłoszenie, umieszczone w nowoorleańskim dzienniku *Commercial-Bulletin* z 29go lipca 184*, obok dwudziestu innych zapowiadających podobnemi słowy dzień i kierunek odjazdu swoich parowców.

Ruch i wrzawa panowały na lewji*); kufry i skrzynie rozmaitej objętości, brzuchate pudła i pudełka, poduszki i materace, słowem całe zbiory sprzętów domowych znoszono zewsząd z wielkim pospiechem na statek, ziejący już od pół godziny dwoma wysokiemi kominami dwa czarne słupy dymu. Dzwonek sygnałowy dał się był już słyszeć po raz pierwszy, a jak kilku ciekawych zapewniał kapitan okrętu, przechadzający się koło swojej kajuty, po upływie pół godziny „Oceanic" miał odbić od brzegu. Mimo to bezustannie jeszcze ciągnęły procesją od miasta *drays'y* **) pełne cukru, kawy, bawełny i soli, i prędzej niżeli się tu zjawiły, znikały bez śladu z pomocą trzydziestu kilku majtków, w olbrzymim tułowie parowca.

Rój małych czółenek kołysał się i prześlizgiwał zręcznie pomiędzy statkami, zatrzymując się dłużej koło tych, które zaraz odpłynąć miały, i zaopatrując na drogę podróżnych w owoce i wiktuały.

Piękny zaiste widok tworzyły te małe, jaskrawo pomalowane czółenka, kierowane zręczną i silną ręką czarnego Hiszpana, w białym słomianym kapeluszu o szerokich kresach. U stóp jego, jak gdyby z rogu obfitości zsypane, leżą zwykle w malowniczym nieporządku ananasy, figi, jabłka granatowe, banany i inne południowe owoce. Pośród tego zwyczajnie przechadza się krzykliwa papuga, zapraszająca wrzaskliwym głosem do pokupu przysmaków, na tyle zaś czółna, na cienkim łańcuszku uwiązana kołysze się dowcipna małpeczka, okazująca wyszczerzeniem zębów gniew swój i niezadowolenie, że ją z pobliskich łodzi obrzucano łupinami i ziarnkami.

Dzwonek uderzył teraz po raz drugi, i jak gdyby popchnięci prądem elektrycznym, rzucili się pełnym biegiem z kilku stron pasażerowie, bo każdy pragnął zdążyć w czas na pokład. Niektórzy uginali się pod ciężarem pakunków i dobywali ostatka sił, — nie jeden nawet wyciągnął chustkę i machał nią w powierzu, aby przecie postrzeżono go z okrętu.

A kapitan widząc to, odwracał się i uśmiechał znacząco.

Choć wciąż jeszcze przychodziły wyładowane towarami taczki, zaledwie trzecia część obszernych magazynów okrętowych była niemi zapełnioną; ale dym coraz gęstszy i czarniejszy buchał z kominów, a to przecie zdawało się każdemu niezawodnym znakiem rychłego odjazdu.

W tym czasie trzy parowce, równie do St. Louis przeznaczone, odbiły już od brzegu; że zaś „Oceanic" znany był z swej szybkości, wielu pasażerów wolało poczekać pół godziny dłużej, niżeli puścić się w podróż na którymkolwiek innym statku. W ich przekonaniu mieli prześcignąć tamte w krótkim czasie. I trzeci raz zadzwonił dzwonek, podróżni i towary napłynęły znowu tłumem, mimo to jednak nie odpinano jeszcze łańcuchów więziących okręt u brzegu.

— Kapitanie, kiedy też odpłyniecie na pewne? — zapytał jakiś kolonista z Missisipi.

— *Well Sir* — odparł tenże — wątpię, by przed wieczorem... Pańskie towary także jeszcze nie nadeszły!

— Dobrze, dobrze, dla mnie to obojętnem, a pytałem tylko z ciekawości. Chciałbym jeszcze pójść do St. Charles na objad.

— O, śmiało, śmiało możesz tam pójść Sir — podchwycił kapitan z uprzejmym uśmiechem. — Jeślibyśmy ruszyć mieli przed wieczorem, poszlę do pana z oznajmieniem jednego z moich ludzi.

Kolonista uspokojony tą odpowiedzią, przeszedł niezwłocznie na brzeg, i zwolna powędrował do hotelu.

Po chwili przystąpił do kapitana jakiś biedny emigrant niemiecki, znajdujący się ze swoją rodziną na międzypokładzie, i nieśmiało zapytał łamaną angielszczyzną, czyby nie mógł pójść jeszcze do miasta, ma się rozumieć, spiesząc się. Chciałby zakupić kilka niezbędnych w podróży przedmiotów dla swojej rodziny, gdyż słysząc dziś rano sygnał okrętowy, w obawie spóźnienia, zaniechał wszystkiego, a przybiegł na pokład.

— Dobrze już, dobrze — odparł kapitan odwracając się, widocznie znudzony długą przemową; — ale spieszcie się... za pół godziny statek odpłynie i z pewnością na was czekać nie będzie...

Lotem strzały pobiegł biedak do miasta, od sklepu pędził do sklepu płacąc za wszystko żądaną cenę, i znużony do upadłego wrócił właśnie po upływie oznaczonej mu pół godziny, zastając okręt w tym samym stanie spoczynku, w którym go był opuścił.

Minęło południe i ostatni statek, przeznaczony równie do St. Louis — odpłynął w drogę ku niemałemu zgorszeniu i niezadowoleniu wielu podróżnych, którzy byliby niechybnie na nim popłynęli, gdyby nie fatalna okoliczność, że ich pakunki ulokowane już były na Oceaniku. W skutek tego zmuszeni byli pozostać i pierwszy *mate,* czyli sternik, — pytany, — kiedy właściwie statek odpłynie — oświadczył uroczyście, że kapitan znajdował się na brzegu — a co do odjazdu — trudno, by statek przed jutrzejszym porankiem ruszył z miejsca.

Na tę kategoryczną odpowiedź posypały się obficie przekleństwa i niekoniecznie przyjazne kapitanowi życzenia... Byli jednak i tacy, którzy tę wiadomość przyjęli milczeniem. Widocznie obojętną było dla nich rzeczą, że jedną noc więcej spędzić mieli w Nowym Orleanie.

Słońce paliło niemiłosiernie, i chyba ten wychylał się z chłodu, którego zmuszały do wyjścia ważne interesa. Ci zaś, którzy nad brzegiem rzeki zatrudnieni byli odbieraniem i ładowaniem towarów, zaledwie żółwim krokiem ruszali się po lewji, choć prawie każdy uzbrojony był w olbrzymi biały parasol — rozpięty jak namiot nad głową.

Pomiędzy stosami towarów, zalegającemi brzeg kamienny, znajdowały się setki worków z kawą, przeznaczoną na statki, które odejść miały do Cincinnati, St. Louis i Pittsburg'a. Na około tej kawy, niby muchy nad miodem, roiły się kobiety i dziewczęta, na pozór pilnie zajęte zbieraniem do koszyczków ziarnek kawy, rozsypanych przy układaniu worków; w istocie zaś większa liczba tych robotnic przemyślnych, ukrywała w dłoni ostre nożyki, któremi nacinała zręcznie pękate worki, i bez trudu napełniała swoje koszyki.

Były to w większej części Niemki i Irlandki, a przemysł ten złośliwy nowoorleańskich kobiet znany był właścicielom worków, przebywającym zwyczajnie na okrętach. To też od czasu do czasu zjawiali się oni na brzegu z laską w ręku, rozpędzając nieproszone amatorki cudzej kawy z pominięciem wszelkiej galanterji i pobłażliwości, winnej płci pięknej. Nic to jednak nie pomagało, i po dziesiątym razie wracały one uparcie, jak zgłodniałe sępy, na łup swój, okrążając tłumem zranione worki.

— *God damn the Dutch!**) wołał z oburzeniem *mate* Oceaniku, gdy po szóstej już, a nadaremnej próbie przepędzenia niepoprawnych szkodnic, zpocony i znużony wrócił na pokład. Boże przeklnij na wieki ten ród nieznośny... Bo jabym tylko wiedzieć rad, po co właściwie Pan Bóg stworzył tych Niemców, Irlandczyków i moskitosy przeklęte! Chyba na istną plagę naszą!

— A któż to, na Jezusa, jeźli nie my wykonujemy w pocie czoła wszystkie roboty wasze? — zapytał przeciągłym swym akcentem, jakiś Irlandczyk z sąsiedniego statku — powiedz że *honey?* nie *Irisch* to i *Dutch* kopią wasze drogi i kanały, uprawiają ziemię, budują domy wasze? I cóż *Sirrah?* zaprzeczysz może?

— Idź do swojej roboty Pat... i *be damned to you!* — przerwał mu gniewaie *mate* tego statku; — skąd ci przyszło u licha, stać w biały dzień z założonemi rękami, rezonując ni w pięć ni w dziewięć! A no żywo *boys**) znosić mi towary!

Z zapadającem za widnokrąg słońcem wracało życie w zamarłe dotychczas ulice miasta. Ze wszystkich ulic płynęły szeroką falą różnobarwne tłumy mieszkańców spieszących na lewję, by odetchnąć i odświeżyć się chłodem wieczornym. Próżne do teraz budki z lodami i chłodnikami napełniały się gośćmi, gromady pięknych i nie pięknych kwieciarek snuły się pomiędzy spacerującą publicznością, albo zasiadały na progach restauracyj i kawiarni z koszami pełnemi wonnych bukietów, — słowem, miasto całe zdawało się powstawać nagle z całodziennego snu ciężkiego i głuchego.

---

*) Lewja (levée), wał chroniący Nowy Orlean przed wylewami rzeki Missisipi. Miano to rozciągają także na cały plac nadrzeczny, — gdzie wyładowują statki, — zalegany co wieczora przez tłumy mieszkańców, spieszących przechadzką nad rzekę, by tu odetchnąć powietrzem świeżem.

**) Dwukołowe taczki towarowe używane w całej Ameryce północnej.

*) Boże przeklnij Niemców.

*) *boys* chłopcy

Przeciwnie działo się na statkach upiętych do brzegu; spokój i cisza opuściły miasto a schroniły się tam bezpiecznie. Po oczyszczeniu pokładów, majtkowie i palacze udali się na brzeg i tylko jednostajne kroki warty słychać było na przedniej części statku, przerwane czasem półgłośnem przekleństwem na nieznośne moskitosy, nie dające chwili spokoju. Zwolna ustawał i w mieście gwar i ruch, ustępując należne panowanie ciszy nocnej; światła jedne po drugich gasły, kawiarnie i hotele zamykały swe gościnne podwoje, i tylko na dolnej targowicy przytykającej tuż do lewji, migotały jeszcze z rzadka lampy. Były to małe i nie wystawne wcale sklepiki, w których całą noc dostać można gorącej kawy lub czokolady, podawanej na świecącej zdala tacy, rączkami pięknej dziewczyny o białym, jak lilja wodna, fartuszku, i świeżej buzi a tak kolornej, że róża koło niej była by zbladła niechybnie. Te czyściuchne błyszczące maszynki, i uśmieszki figlarne swawolnych dziewcząt, z daleka doprawdy wabiły wśród nocnych ciemności, a snać wabiły skutecznie — bo wszędzie przy ladach ścisk był tam niezmierny.

Na głuchych ulicach dawał się słyszeć czasami to urwany znak nawołującej się warty — znakiem tym było uderzenie o bruk ciężką *hickory* laską — to znowu przeciągały gwarnie wesołe gromady hulaków nocnych. Te zatrzymują się zwykle koło znajomych sobie sklepików — każdy pije filiżankę kawy lub herbaty, płaci jednego *picayuna* — przyczem nie zaniedba niby mimowoli, uścisnąć wydzierających się paluszków skromnego dziewczęcia — i dalej w drogę, ze śmiechem pustym i tłumioną śpiewką na ustach! Wszak w Nowym Orleanie tyle sklepików i dziewcząt czarujących tyle! a tu noc tak parna, że stokroć przyjemniej spędzić ją na wędrówce wesołej, niżeli w zadusznej izbie. Po północy, kiedy już zorza poranna blade ukaże oblicze — nie dość że czasu rzucić się na łoże twarde i przespać jednym tchem kilka godzin? Około dwunastej nadciągnęła do jednego z takich sklepików „na dolnej targowicy“ gromada podchmielonych majtków. Śpiewy jej i śmiechy rubaszne odbijały się dalekiem echem po pustej dzielnicy.

— Słuchajno Tom! — rzekł w końcu jeden z trzeźwiejszych do tego towarzysza, który się widocznie najlepiej bawił, bo najgłośniej śpiewał i hałasował; — zaprzestańże raz tak krzyczeć piekielnie bo obaczysz, że oprzesz się dziś jeszcze w kalebuzie.

— Niech djabli porwą kalebuzę razem z twoją przestrogą! — odparł mu dobitnie. — Wszak jestem „białym“ a nie negrem przeklętym, i radbym widzieć śmiałka, któryby się poważył zapędzić mnie do kalebuzy... Hej... oto pieniądze za kawę — dzieweczko! — zawołał zwracając się do młodziutkiego dziewczęcia obsługującego gości. — Miałem siedm, zdaje mi się, filiżanek... Oto pół dolara... czy dosyć?

— Dostaniesz pan natychmias *picayun'a*.

— Pal licho *picayun'a*... wolę całusa... no nie udawaj bojaźni... i pocałuj mnie...

— Panie... nie napastuj mnie... albo zawołam natychmiast wartę!...

— Wołaj — do djaska — wołaj... a jednak całusa mieć muszę!

I nieważając na perswazje towarzyszów chciał ją pochwycić w objęcia. Gdy widząc to dziewczyna krzyknęła „ratujcie“ — w okamgnieniu zjawił się, jak z pod ziemi, strażnik porządku publicznego, opięty w grubym ciemnym surducie, w wysokim glancowanym kapeluszu na głowie. Kapelusz ten ma kształt hełmu — na przodzie nosi duży numer wymalowany żółtą farbą, a z tyłu szeroką wstążkę ciemną, spadającą na plecy, podobnie jak u czapki marynarskiej.

Szybko i bez namysłu przyskoczył do napastnika gorliwy stróż bezpieczeństwa nowoorleańskiego, odtrącił go silnem pchnięciem od strwożonej dziewczyny i surowym głosem wezwał całe towarzystwo do uciszenia się i bezzwłocznego rozejścia.

Napróżno jednak usiłowali trzeźwiejsi majtkowie zabrać z sobą pijanego towarzysza. Piorunując i przeklinając strażnika, zamierzył się, by wyrwać jednemu ze stojących w pobliżu laskę, którą zapewne powetować chciał sowicie wyrządzony mu despekt.

— Rrrrr.... — zahurkotał nagle znak umówiony. Równocześnie *watchman* przyskoczył do pijanego, pochwycił go silnie za ramię, i zawołał poważnie: Aresztuję pana... Inni widząc to odstąpili w milczeniu. Za chwilę kilkunastu silnych i dobrze uzbrojonych strażników przybyło na pomoc koledze.

Widząc przemoc, pijany Tom zdał się spokojnie na łaskę swojego pogromcy, i już bez protestu poszedł do kalebuzy, jak mu to przepowiadał pierwej jeden z towarzyszy. Tamci zaś rozprószyli się po sąsiednich sklepikach, by dopełnić miary dzisiejszej hulanki.

Z pierwszym brzaskiem wschodzącego słońca obudził się Oceanik do codziennych zatrudnień.

Strażnik nocny pościągał z posłania palaczy i majtków, i podczas gdy pierwsi rozniecali ogień pod kotłami, drudzy myli i czyścili pokład, że potem jaśniał i szklił się prawie do pierwszych promieni porannego słońca.

Po śniadaniu zaczęły przybywać znowu pojedyńcze drays'y z towarami i pakunkami nowych pasażerów. Różnobarwne łódki z owocami, jak wczoraj, pomykały i dziś pomiędzy statkami i jak wczoraj zadźwięczał głos dzwonu sygnałowego, przebijając się donośnie przez gwar i wrzawę ruchliwego życia portowego.

Młodzi chłopcy z dziennikami, starsi z owocami, z koszami pełnemi książek, nowelli i powieści, tak pożądanych w dalekiej drodze dla zabicia nudy — dalej młode murzynki i mulatki w kolorowych chustkach, nie bez wdzięcznej kokieterji na głowy zarzuconych, z cynowemi dzbankami słodkiego mleka, wszystko to cisnęło się i popychało na wąskim pomoście, łączącym statek z brzegiem, a nie pominęło nikogo, nie ofiarowując natrętnie swoich towarów „po nadzwyczaj niskiej cenie.“

Dwie takie mleczarki, jak zwyczajnie, mulatka i murzynka, obydwie po ośmnaście lat liczące, i rosłe a piękne (nb. kto gustuje w ciemnych kolorach), posprzeczały się były na statku, i gniew ten przyniosły z sobą na brzeg. Słowo po słowie, a każde coraz ostrzejsze, padały jak z procy z obudwu stron, aż w końcu mulatka „znudzona bezowocną paplaniną,“ postawiła naczynie na ziemi, zatoczyła rękawy po za łokcie i ustawiając się w pozycji prawdziwie szermierskiej, wyzwała przeciwniczki na pięście (boksy).

W mgnieniu oka napłynął tłum majtków ze wszystkich statków, i szerokiem kołem otoczył odważne zapaśnice. Te zaś zabierały się na serjo do walki, zagrzewane zewsząd wykrzyknikami, które im bądź odwagi dodawały, bądź schlebiały ich obrażonej dumie.

Pierwszy atak „żółtej“ odparła murzynka zręcznie i szczęśliwie.

— Doskonale, Mary, doskonale! — wołał ktoś na chybł trafi zgadując imię — nie daj się tylko, na nią... na nią... — Równocześnie nie brakło na zachętach dla drugiej strony: Między oczy, Jinny, między oczy... to, to był wyśmienity raz... a powtórz go... itd.

Jakiś nieznajomy przedarł się gwałtownie przez tłum ściśnięty, i pochwyciwszy mulatkę za ramię, chciał ją uprowadzić z pola bitwy.

— Puść ją, puść! — zagrzmiało nagle kilkanaście głosów. — Walka równa, niech ją zakończą same.

— To moja niewolnica! — odparł z oburzeniem przybyły, usiłując napróżno rozdzielić zażarte przeciwniczki.

— *God damn* pana i pańską niewolnicę! — zahuczał jakiś olbrzym z gatunku palaczów okrętowych odtrącając zgorszonego właściciela tak stanowczo, że chcąc nie chcąc, musiał wypuścić z rąk swą służącę. — Idź pan do czarta a nie przeszkadzaj ludziom w niewinnej zabawce....

— Tak jest... nie przeszkadzaj im...— wtórował mu tłum zadowolony z widowiska bezpłatnego, a właściciel musiał ustąpić, bo inaczej byłby sam otrzymał zaraz nie jedno zaproszenie do nieuniknionej partyjki na „kułaki“.

Tymczasem zapaśnice porzuciły walkę na pięści, a targały się nawzajem za włosy i sukienki, że te ostatnie wnet z samych strzępków się składały. Nagle murzynka przypomniała sobie narodowy fortel. Zchwyciła mulatkę obiema rękami za gardło, i czołem tak silnie uderzyła ją w skronie, że ta padła na ziemię bezprzytomna.

— *Look at the nigger!* — zawołał na to tłum z głośną uciechą; dzielna z ciebie dziewczyna... Mąż twój będzie mógł pogratulować sobie takiej żonki... itd. grzmiało ze wszystkich stron. Z widocznym respektem rozstąpiono się, by zrobić jej przechód wolny. A ona?... Ona z tryumfem patrzyła w koło, choć niosąc miasto sukienki tylko strzępki na ramionach, wiedziała dobrze, co ją czeka w domu od groźnej pani. Jak bowiem ona sama, tak i sukienka była czyjąś własnością, przedstawiającą w księgach pewną ilość dolarów.

Nieprzytomną mulatkę właściciel podniósł z ziemi, jak worek ryżu wrzucił do taczek towarowych, i kazał odwieść służącemu do domu.

W dwie minuty cała ciżba widzów rozprószyła się i zniknęła, a za godzinę pewnie nikt już ani pomyślał o całem zdarzeniu.

Tymczasem Oceanik widocznie na serjo zabierał się do odpłynięcia, bo nietylko dym coraz gęściejszy dobywał się z kominów, ale także *scape pipe*, t. j. rurka odprowadzająca zbyteczną parę, okazywała życie, od czasu do czasu wysuwając z siebie białą wstęgę pary.

Wnet dzwon uderzył po raz drugi, łańcuchy pościągano, i tylko dwie cienkie linwy trzymały statek u brzegu; koła poczęły pracować zwolna przeciw prądowi rzeki, a *mate* wysłał dwóch ludzi na brzeg, ażeby na dany znak odwiązali linwy zadzierzgnięte w żelaznym pierścieniu.

Teraz zadzwonił sygnał szybkiemi i krótkiemi uderzeniami po raz ostatni. Wszyscy którzy znajdowali się jeszcze na pokładzie, czy to dla pożegnania znajomych, czy dla ostatecznego załatwienia interesów, rzucili się teraz nagle na

jedyny pomost wiążący jeszcze statek z brzegiem; inni znowu pędzili z brzegu na pokład statku, a każdy, jak to zwykle bywa, chciał prześcignąć drugiego. Nareszcie odwiązano ostatnie liny, pilota zajął swój mały szklanny domek na wielkiem kole; ostatni dwaj majtkowie wrócili z brzegu, i w jednej chwili ściągnęli za sobą pomost, podczas gdy kilkunastu ludzi usiłowało długiemi drągami odepchnąć statek od brzegu.

Gdy przednia część jego już wolną była, pilota zadzwonił, na to inżynier odpowiedział równie dzwonkiem, że zrozumiał otrzymany znak, i z głośnym hukiem, wyrzucając wysokie bałwany, torował sobie olbrzym drogę, wśród czółenek umykających chyżo na stronę. Za kilka chwil był już na pełnej wodzie, a olbrzymie koła pruły falę tak gwałtownie, że pod ich silnemi razami woda, ustępując, tryskała wysoko w górę, inne zaś statki, stojące u brzegu, długo potem kołysały się na wzburzonej powierzchni rzeki.

Ale któż to tam pędzi tak wzdłuż lewji, czapką i chustką wywija bezustannie w powietrzu, i ku wielkiej uciesze widzów, woła i krzyczy, a dobywa głosów tak dzikich, że w końcu umilknął ochrypnięty; ramię jak skrzydło wiatraka, obracając się w powietrzu dłuższy przeciąg czasu ustawicznie, w końcu opada znużone?

I widząc, że mimo te wysilenia jego podwójne, statek coraz bardziej się oddala, załamał ręce w niemej rozpaczy, i prawie nieprzytomny upadł na pobliski balast okrętowy.

To jakieś biedne Niemczysko, przybyłe dopiero przed trzema dniami z ojczyzny: chciał popłynąć do Missouri, teraz zaś cała rodzina jego; składająca się z słabej żony, trojga drobnej dziatwy i staruszki matki, płynęła sama bez opieki, bez głowy, w nieznane światy... Wytężał nieszczęsny na rzekę wzrok zamglony łzami, niby chciał powstrzymać nim statek, który malał stopniowo, aż w końcu zniknął w sinej oddali. Ten i ów pytał o przyczynę tej rozpaczy strasznej, drugi śmiał się wesoło, inny litował z niekłamanem współczuciem... lecz cóż to dla biedaka wszystko znaczyło? Nie rozumiał angielskiego języka, więc nie pojmował ich pytań, szyderstw czy współczucia... to jeno pojmował aż nadto dobrze, że w obcem mieście został sam jak rozbitek na szerokiem morzu, opuszczony, nieszczęśliwy podczas gdy tych, którzy mu byli wszystkiem w życiu, wydarł mu przypadek fatalny... może i na zawsze.

A żona... zaledwie postrzegła nieobecność jego na pokładzie, rzuca dziecię od piersi, i z jękiem przypada do każdego, błagając by statek zaczekał na męża.

Biedna kobieta! pierwszy to raz znajdowała się na *amerykańskim* parowcu, i nie wiedziała jeszcze, że słowa w s p ó ł c z u c i e, l i t o ś ć, to nawet z nazwy nieznane tym ludziom wyrazy!

— Nic nie rozumiem! — było całą odpowiedzią, jaką otrzymywała wszędzie na swoje jęki i zaklęcia, a niechybnie towarzyszyło jej także jakie przekleństwo amerykańskie; bo miotając się po pokładzie, przeszkadzała robocie.

Jakiś majtek, rodem Niemiec, usłyszał w końcu rozpaczliwe skargi, i pobiegł do *mate'a* przedstawić mu okropne położenie biednej kobiety.

— Idź z tem do kapitana, i niech ją licho weźmie... Mam ja tu o czem innem, ważniejszem myśleć... Czemuż bo ten ciołek niemiecki nie przybiegł w czas na statek?

Tak brzmiała rada sternika. Więc pobiegł poczciwy człowiek do kapitana i w kilku słowach opowiedział mu całe zdarzenie.

— Za późno, przychodzisz bratku, za późno — odparł kapitan po wysłuchaniu oracji, obojętnie ściągając ramionami. — Wszak słyszał sygnały i dość miał zapewne czasu zdążyć na pokład!

— Ależ kapittnie, jego żona z małemi dziećmi, sama na okręcie, bez opiekuna, obrońcy, a nadomiar złego, nie rozumie słowa po angielsku!

— To źle, bardzo źle, przyznaję... lecz cóż jej pomogę? — Przecie nawracać mi niepodobna i przyczyniać sobie dwie mile drogi, a wszystko dla jakiegoś tam pasażera międzypokładowego, który przez własne niedbalstwo został na brzegu!

Tymczasem statek mknął po falach z chyżością ptaka, i z każdą chwilą coraz dalej zostawiał za sobą Nowy Orlean, a w nim strapionego Niemczyska na lewji. Odmowa kapitana była tak stanowczą, że poczciwemu majtkowi nic nie pozostało, jak udać się do zawodzącej głośnym płaczem kobiety, i pocieszać ją słowami współczucia, po utracie męża.

Nie od rzeczy będzie, jeśli na tem miejscu podamy krótki opis amerykańskich parowców, tem bardziej gdy one w każdym niemal względzie wielce się różnią od naszych europejskich, a mało kto ma sposobność w życiu popłynąć do Ameryki i oglądać tam naocznie ich urządzenie.

Amerykanin w każdej swojej pracy i przedsiębiorstwie przedewszystkiem ma na oku, ażeby w jak najkrótszym czasie, z małym wkładem pracy i kapitału, zdobył sobie zysk znakomity. Z tą myślą przewodnią przystępuje do każdej roboty, a dowodzi nam tego zaraz np. budowa jego parowca.

Ażeby tułowu okrętu używać mógł wyłącznie do ładowania towarów, nie tracąc zarazem obszernego miejsca dla pasażerów — mieści maszynę na pokładzie i buduje po nad nią piętro, przeznaczone na wygodne kajuty dla zamożniejszych podróżnych i oficerów okrętu.

Środek pierwszego pokładu zajmuje maszyna od niej, w kierunku przedniej części statku ustawione są kotły, w liczbie dwóch, trzech, aż do ośmiu, stosownie do potrzeby. Na przykład Oceanik nasz liczył pięć kotłów. Często napotkać można parowce z dwiema maszynami, które bądź każda z osobna, bądź wspólnie jedno obracają koło. W drugim wypadku, koło to umieszczone jest na tyle okrętu, nazywa się *stern wheel*, statki zaś takie są zwykle małe.

Za maszyną znajduje się przestrzeń, trzecią część całego pokładu zajmująca, a przeznaczona do transportu tak zwanych pasażerów m i ę d z y p o k ł a d o w y c h. To miejsce obejrzyjmy dokładnie, bo często w opowiadaniu naszem wracać doń będziemy.

Ku przedniej części, a raczej ku środkowi statku, przestrzeń wyżej wspomniana jest otwartą, po obudwu jej stronach biegną, piętrząc się po nad sobą, trzy rzędy łóżek, z desek zbitych i dość szerokich, by w potrzebie dwie nawet osoby pomieścić mogły. W pośrodku dominuje zwykle piec poważnych rozmiarów, używany także do gotowania jadła, gdyż międzypokładowcy (będziemy ich tak dla krótkości nazywali) nie otrzymują pożywienia z kuchni okrętowej. I jeśli na okręcie wielu podróżnych tej kategorji, to piec ten od rana do wieczora w istnem oblężeniu! Domyśleć się łatwo, jaka temperatura tam panuje, osobliwie w miesiącach letnich! Ścisk w tym lokalu zwykle wielki, bo pasażerowie trzymają tu z konieczności swoje pakunki — zwyczajnie liczne i różnorodne...

Z tyłu statku po obudwu stronach rudla, wisi szalupa, w potrzebie dla ratunku, zresztą do wysadzania na ląd i przyjmowania ztamtąd pasażerów używana. Po lewej stronie (rudla) steru na pokładzie, pomieszczoną bywa zwykle kuchnia okrętowa, z przytykającą nieodzowną spiżarnią. I w niej najgłówniejszym sprzętem jest piec kuchenny, śmiało co do objętości rywalizujący z tamtym plebejuszem między pokładowym. Z jego wnętrza wychodzi co dzień smażone i pieczone pożywienie dla stu i więcej osób, licząc w to oficerów i usługę okrętu.

Po nad tem wszystkiem wznosi się obszerna kajuta, do której z dwu stron wiodą małe schodki. Środek zajmuje długa sala jadalna, a z niej prowadzą szeregiem szklanne drzwi do małych gabinetów sypialnych, w których łóżka, podobnie jak na dole, na międzypokładzie, dla oszczędzenia miejsca, jedno nad drugiem spoczywają. Dalej są małe kabiny dla kapitana, *mate'a* (sternika) piloty, inżyniera i buchaltera. Na większych statkach znajduje się jeszcze obok tego wszystkiego mały *bar room* tj. grzecznie bufet albo pospolicie izba szynkowna. Na Oceaniku lokal ten zalecał się już z daleka różnobarwnym szeregiem flaszek z likierami i innymi napojami gorącymi, obok gromady pięknie szlifowanych szklanek i kieliszków. Wdzięczny widok sprawiały tu i owdzie ułożone symetrycznie owoce południowe przeróżnych gatunków, a widać było ze wszystkiego, że zawiadowca tej świątyni Bachusa nie tylko miał pieczę o zmysł powonienia i smaku pasażerów, ale zarazem nie pomijał obojętnie strony jej zewnętrznej, by jak najponętniej prezentowała się oku! Nie pominął on był jeszcze jednej okoliczności, nader ważnej dla niego i drugich.

Oto w pośrodku nad ladą wisiała elegancka tablica, a na niej łokciowemi ale za to złocistemi literami, wypisane były tylko dwa słowa pełne znaczenia i myśli głębszej (!): *No credit*... Komentarz wszelki uważamy za zbędny, gdy streścimy mniej więcej znaczenie napisu w tych słowach: Na kredyt nic nie dadzą.

Tak *bar* jak sala jadalna, ozdobione były girlandami z papieru sztucznie wyciętemi. Były zaś one w podwójnym celu rozwieszone: raz aby świadczyły o pochwały godnej staranności właściciela okrętu, by apartamenta podróżne przyzwoicie wyglądały, powtóre: muchy nie siadały na stropie i nie pstrzyły go, przenosząc papierzane siedliska.

Drugą ozdobą „cenną“ w sali były odwieczne sztychy, wydające się podpisami za „Epizody z wojen Napoleona Igo“ i kilka rycin przedstawiających rozmaite parowce pierwszorzędne. Między temi na pierwszym jużci planie prezydował jaskrawo malowany nasz Oceanik.

(C. d. n.)

Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły.

Napisał
ANTONI PROCHASKA.

(Dokończenie).

I cóż znaczy ten gniew królowej, który spotkał węgierskich posłów? Tłumaczymy go w duchu hipotezy Cara: znaczy on, że królowa

*

nie życząc sobie wojny z Krzyżakami, uważa posłów za jej sprawców, więc dlatego okazała im swój gniew.

Przypuściwszy, że tłumaczenie takie jest całkiem słuszne, czyż już dlatego mamy policzyć królowę do stronnictwa „teutonizujących?“

A wszakże ci posłowie, którym Elżbieta gniew swój w tak wybitny sposób okazała, nie byli wrogimi Krzyżakom i nie sprzyjali tak bardzo Polsce, jakby to się wydawało, zwłaszcza wtedy, gdybyśmy mieli Elżbietę zaliczyć do jakiejś partji „niemczącej?“ Obaj bowiem, tak Przemko jak i hrabia Oettingen podpisali się na najszkodliwszym dla Polski wyroku Zygmunta wydanym we Wrocławiu 6. stycznia 1420 roku[1]). Przemko zaś należy nawet do najszkodliwszych wrogów Polski, albowiem w roku 1422 w grudniu przystępuje do haniebnego projektu podziału Polski [2]).

Królowa, jak donosi dalej ów list, miała chętnie gościć Jerzego Holocha, biskupa „Pazowskiego,“ jak go podówczas w Polsce zwano [3]). Był to kanclerz królewstwa węgierskiego, człowiek przychylny dla spraw Polski jak się pokazuje z osnowy dalszej listu. Według Długosza, miał ten znany zresztą z przychylności dla Polski mąż, całe sześć tygodni przebyć w Krakowie, aby przysposobić broń i inne rekwizyta do zamierzonej wyprawy na Krzyżaków. Utrzymywany był on przez Jagiełłę, lecz zmiarkowawszy nieszczerość postanowień Zygmunta, wrócił z Krakowa do Węgier. W liście powyżej wymienionym donosi anonim, że biskup zachorował i ociągnął na prośby królowej na kilka dni swój powrót do Węgier. Przyczyną słabości miała być zgryzota jego, z powodu, że zgoda pomiędzy królem Polskim a Krzyżakami, jak to się był spodziewał, nie przyszła do skutku. Według hipotezy Dra Caro należałoby więc i Holocha policzyć do jakiegoś stronnictwa „teutonizujących,“ bo widocznie nie chciał on równie jak królowa wojny z Polską. Według dalszych konsekwencyj tej hipotezy, miałby więc nasz Długosz niecierpieć Holocha dlatego, iż ten niby miał być wrogiem kancelarji. A przecież wiemy, iż Długosz przedstawia Holocha w najprzychylniejszem dla niego świetle i wyraźnie daje do zrozumienia, iż tenże był najlepszym przyjacielem Polski i Polaków.

Hipoteza więc Dra Cara nie ma punktu oparcia, i dziwimy się, że ten trzeźwo zresztą myślący historyk, popada w tak rażące niekonsekwencje, a jeszcze bardziej, że narzuca swe błędy innym, wskazując uporczywie w najnowszych swych publikacjach, iż to, co on o Elżbiecie, o kancellarji, o stronnictwie teutonizujących powiedział, jest prawdą, iż o zarzutach, które przeciw jego przedstawieniu rozmaici uczeni wymierzyli, niewarto mówić, itp.

Przychodzimy wreszcie do ostatniego punktu, mającego według p. Caro posłużyć za illustrację niemczącego „teutonizującego“ stronnictwa i usposobienia królowej. Wiadomo z Długosza [4]), że Elżbieta miała chęć wynieść swego syna Jana na godność „comesa“ na Łańcucie [5]), przyczem mieli mu być oddani prawem lennem niektórzy

[1]) Dł. XI. 413.

[2]) Grünhagen. Scriptores rerum Silesiacarum tom VI. 28.

[3]) Dominus Pazowski; w Rachunkach wydanych przez Henryka Zeissberga.

[4]) Dł. XI. 426.

[5]) nie zaś na Jarosławiu jak Długosz; obacz Wapowski I. 448. i przypisek Malinowskiego.

z rycerzy i szlachty okolicznej. Trafnie zresztą dorozumiewa się Caro [1]), że ta jej chęć i wola więcej z niemieckiego niż z polskiego zapatrywania się na prawo wypłynęła. Już był nawet król zezwolił na takowe nadanie, spisano odnośny przywilej — gdy przeciwko temu wystąpił Wojciech Jastrzębiec, kanclerz królewstwa. Przedłożył on, że nadanie takie byłoby ze szkodą dla królewstwa i nie chciał na przywileju i nadaniu królewskiem przyłożyć pieczęci. Długosz, zda się, dobrze określa znaczenie kanclerza w Polsce gdy mówi o Jastrzębcu [2]), że przez jego opór nadanie hrabstwa Janowi z Pilczy zostało odmówionem i unieważnionem. My możemy dodać, że wszyscy panowie polscy równie zgodnie musieli się temu nadaniu sprzeciwić — a kanclerz snać na mocy swego urzędu występuje tu w imieniu ogółu przeciwko niemu, jako niezgodnemu z duchem prawa polskiego. Wszak było ono wyraźnie „contra leges publicas“ wymierzone [3]), jak to prawie wszyscy potomni potwierdzają. A cóżby na takie ufeudowanie i poddanie (subiico) powiedział cały tłum szlachty nietylko łańcuckiej? Jastrzębiec jako kanclerz mógłby się był narazić z pewnością na większe jeszcze nieprzyjemności, niż te, jakie go czekały ze strony zagniewanej Elżbiety. Bo że mogła królowa „wybuchnąć gniewem i złością przeciwko kanclerzowi, za jego sprzeciwianie się“ — tego przecież nie będziemy przeczyć Długoszowi. Według jego relacji, postanowiła królowa zemścić się na Jastrzębcu, podburzając na niego króla, za jego niefortunne poselstwo do Zygmunta, za co też po śmierci królowej taki rozruch stał się na zjeździe w Łęczycy [4]).

Taki to jest fakt, na którym Dr. Caro opiera swą hipotezę. Że atoli nie jest ona i w tym fakcie uzasadnioną, dowiódł tego w kilku bardzo trafnych zdaniach Zeissberg. Odkrył on w tym punkcie całą nagość niekonsekwencji Dra Caro.

Jeżeliby bowiem powyższy ustęp w Długoszu miał oznaczać, że wystąpienie Jastrzębca przeciwko Elżbiecie jest dowodem złości i jadu, jaki przeciwko niej żywiła kancellarja królewska, i że ten jad unaocznia się w Długoszu, to przecież, jak słusznie wnosi Zeissberg, i na innem miejscu broniłby Długosz Jastrzębca i przedstawiałby go w świetle dlań korzystnem jako takiego, który według p. Caro należał do „intimsten Gesinnungsgenossen,“ do najbardziej podzielających zdanie Zbigniewa Oleśnickiego.

Cóż atoli pokazuje się z Długosza. Oto wystawia on Jastrzębca w najgorszem świetle

[1]) Zeissberg. Analecten. str. 352.

[2]) Dł. XI. 426... Eiusque solius renitencia et oposititione, creatio prefati Johannis de Pilcza in Comitem infecta est et abrogata.

[3]) Mitzler: Acta litteraria; trimestre primum. pag. 51.

[4]) Zeissberg (Analecten. pag. 352,) nie pojął zdaniem mem, opisu Długosza całkiem dobrze, gdy powiada: Der erzürnte König wollte dem Bischof das Siegel entziehen, setzte ihm aber auf den Rath einiger gemässigt besinnter Personnen seiner Umgebung auf das Fest des Apostels Jacobus, d. i. auf den 25 Juli, noch ein Termin. Da wurde der Knoten von höherer Hand gelöst itd. Z opisu wynika, jakoby na tym terminie sprawa o hrabstwo rozstrzygnąć się miała, lecz że Elżbieta umarła przedtem — sprawa więc ta została w ten sposób niezałatwioną. Tymczasem z Długosza wypływa, że sprawa ta zakończyła się za życia królowej, właśnie tem wystąpieniem Jastrzębca, że atoli na zjeździe w Łęczycy t. j. 25. czerwca (1420 r.) chodziło o rzecz całkiem inną, to jest o winę lub niewinność Jastrzębca, Zbigniewa z Brzezia i Jana z Tuliszkowa w sprawie rozejmu z Krzyżakami a interwencji Zygmunta.

tam, gdzie Jastrzębiec słusznie na to zasługuje [1]). Nieprzebiera on nawet w wyrazach i karci najostrzejszemi słowy postępowanie jego względem Wysza, biskupa krakowskiego [2]). Nawet względem innych osób składających kancellarję polską lub jej stronników okazuje się Długosz całkiem niezawisłym w sądzie i karci ich, gdy na to zdaniem jego zasługują [3]).

Jak więc z tego wszystkiego widzimy, nie pisał nasz Długosz po stronie i w obronie niejako kancellarji polskiej — a w dalszej konsekwencji nie oczerniał królowej z powodu, iż należał niby do stronnictwa kancellarji. Cała teza kancellaryjna p. Caro przedstawia się nam wyraźnie, jak to Niemiec powiada „aus der Luft gegriffen“ — jako fałszywa moneta, którą narzuca Dr. Caro wszystkim, kto mu się tylko nawinie. I owszem; nam, którzyśmy sumiennie rozebrali relacje Długosza, przedstawia się Elżbieta całkowicie w świetle Długoszowem. Charakter i obraz jej, jak go narysował Długosz, pozostanie zawsze taki sam w historji, dopóki racjonalniejszymi dowodami nie poprą przeciwnicy jego swoje przedstawienie. Tylko uprzedzenie i fałszywe hipotezy mogą wpłynąć na to, iżbyśmy sądzić mieli, że Długosz spaczył obraz królowej, iż przedstawił go w fałszywem świetle. Zadaniem atoli historyka, znać pierwej źródła — a potem dopiero stawiać hipotezy.

[1]) Zwie on haniebny czyn Jastrzębca względem Wysza: contuelia et iniuria XI. 429.

[2]) Sprawę Wysza zwie on „iustam causam,“ a o przeniesieniu Wysza na katedrę poznańską mówi, że ono: „magno in populo et in Clero parturiit scandalum.“ Pomijamy wreszcie to co Długosz mówi o Jastrzębcu w Żywotach biskupów poznańskich. Obacz: Łętowski Katalog I. 339. Bużeński. Żyw. Prym. II. 36.

[3]) Porównaj XI. 605. 606., gdzie gani Jastrzębca, Szafrańca, Ciołka i Jana Chełmskiego wyrzutem: „nescio qua pietate vel religione moti.“

POGADANKI.

XXVII.

Start, Walk-over, handicap, broken down, featherweight, go on, drop, in-and-out — jednem słowem, mógłbym tak rozprawiać jeszcze przez całą godzinę ku wielkiemu zdziwieniu szanownego czytelnika, nie mogącego pojąć, zkąd jeden pogadankarz połapał tyle słów angielskich. Ha—był to tydzień emocji sportowej która dominowała ponad wszystkiemi innemi. Znajomi, spotykając się na ulicy, zapytywali jeden drugiego najpierw, czy hr. Tarnowski i dzisiaj zabrał wszystkie dukaty i guldeny, a dopiero potem, czy Serbowie zamierzają bić Turków w ten piątek. o godz. 11 minut 40 rano, czy dopiero w przyszłą środę około 2giej popołudniu, jeżeli nie będzie deszczu? O innej strawie gazeciarskiej myśleli i mówili już chyba tylko specjaliści, których posiadamy w tym lub w owym kierunku, tj. specjaliści, od agitacji wyborczej, od stowarzyszeń, od kwestji kagańców dla psów, od nabożeństw i kazań, od festynów i wycieczek, od czci wielkich, w Bogu ogłoszonych mistrzów itd. Wszystkie te ważne i nieważne sprawy drzymały, bo „elita“ społeczeństwa zajmowała się końmi, a za „elitą“ dorożkami, wózkami, iakoteż i mniej kosztownym własnych nóg zaprzęgiem roiła się za rogatką rzesza, której po śmierci uśmiecha się okolica królestwa niebieskiego, przeznaczona dla tureckich świętych.

Właściwych biegunów wyścigowych, pełnej i półkrwi, brało udział w gonitwach 13. a mianowicie 5 hr. Jana Tarnowskiego, 3 p. K. Ochockiego, 2 bar. Heydla, 1 p. Cieleskiego, 1 hr. Bielskiego, a 1 poruczn. Herba. Dziewięć razy wzięły, nagrodę 4 konie hr. Tarnowskiego; raz wygrał p. Ochocki. Ogólny rezultat był tego rodzaju, że można z niego wysnuć dość smutny horoskop dla najbliższej przyszłości sportu galicyjskiego. Najlepsze konie, jak *Przedświt*, przechodzą w ręce cudzoziemców; inne albo nie są dobrze trenowane, albo chorują, kaszlą, kuleją itp. albo też oprócz niepięknych kształtów nie dziedziczą żadnych innych przymiotów po swoich przodkach angielskich. Zdaje się rzeczą prawie pewną, że jeżeli który z magnatów naszych nie kupi za granicą konia, mogącego współzawodniczyć chociażby z drugorzędnymi biegunami, produkującymi się w Wiedniu, w Pradze, w Preszburgu lub w Peszcie, albo jeżeli p. Ochocki nie zmieni radykalnie sposobu prowadzenia doskonałych swoich koni, to w przyszłym roku Niemcy i Węgrzy lichemi stosunkowo końmi zabiorą nam wszystkie nagrody rządowe. Zjechał tu już na zwiady redaktor jednego z pism fachowych w tej gałęzi, i nie omieszka oczywiście rozgłosić faktu, który tu przytaczam, ku pożytkowi pozakrajowych właścicieli koni.

Można być różnego zdania co do pożytku, jaki kraj mieć może z chowu koni czystej krwi angielskiej i z mniemanego poprawiania niemi rasy krajowej. Być może, że anglomanowie mają słuszność; być może, że racjonalniejszym byłby system, za którym przemawiają ich przeciwnicy. To wszakże nie ulega żadnej wątpliwości, że póki konie angielskiego pochodzenia dopuszczone będą do współzawodnictwa. póty będą wygrywały, a więc miłośnicy angielskiego sportu powinni starać się o d o b r e konie angielskie, albo dać pokój kosztownej zabawce i chować po staremu konie mniejszej ceny i chyżości, ale wytrwałe i użyteczne. Tego roku jeszcze hr. Tarnowski wykonał formalną *razzia* na dukaty ministerstwa rolnictwa; *Przedświt* wziął ich 800 a *Klucznik* 500 — za rok, gotów to wszystko zabrać p. Baltazzi albo p. Oppenheim, bo hr. Tarnowski wyprzedał swoją stajnię.

Nierównie bardziej pocieszającemi były biegi z przeszkodami, bo przekonały nas, że mamy w kraju doskonałych jeźdźców i że jeźdźcy ci mają konie odpowiadające celowi i potrzebie. Jeździli wprawdzie sami tylko wojskowi, ale wobec powszechnego obowiązku służby wojskowej okoliczność ta jest mniej rażącą, bo gdzież teraz szukać młodzieży usposobionej do ćwiczeń podobnych, jeżeli nie w wojsku? Znalazłoby się też niezawodnie i więcej ochotników do takiego karkołomnego popisu, gdyby wielu nie odstraszał nieracjonalny sposób, w jaki publiczność osądza rezultat biegu z przeszkodami. Wszystkie oklaski i wyrazy uznania dostają się wygrywającym, a mało kto uważa, że niejeden, co został szarym końcu, dokazał może większej sztuki od zwycięzcy, bo na koniu słabszym, albo upartym, przyjechał do mety zaledwie o parę sekund później niż właściciel konia lepszej rasy, i posłuszniejszego.

Zostawmy wszakże te dyssertacje tym, którzy się na tem lepiej rozumieją, i rozpatrzmy się, czy nie stało się co więcej uwagi godnego. Oto mamy teatr, który z jak najlepszym skutkiem opiera się panowaniu pory kwaśnoogórkowej, a to, dzięki występom pani Modrzejowskiej. Oceniać ich, ani opisywać tutaj nie myślę, bo pierwsze stało się już oddawna, a drugie byłoby zbytecznem, skoro każdy wie, jak trudno docisnąć się do kasy, gdy magiczne nazwisko artystki warszawskiej pojawi się na afiszu. Pogłoska, jakoby pani M. zamierzała porzucić scenę na zawsze, jest podobnoś mylną, natomiast faktem jest, że z rady lekarzy, artystka nasza przeprawi się wkrótce za Atlantyk na czas jakiś, i że będzie tam występować jako gość na obcej scenie, w obcym języku. Byłoby egoizmem z naszej strony, gdybyśmy jej nie życzyli z serca i zamorskich wieńców sławy, ale zaparcie się takie z naszej strony, niechaj będzie osłodzone nadzieją jej powrotu do Europy i do ziemi ojczystej.

Dla wielu Lwowian nadeszła smutna chwila — dawno przepowiadana. Panna Deryng wyjeżdża do Warszawy. I drugi jeszcze smutek: wesoły *Szczutek* obarcza się niewesołym, codziennym, politycznym dodatkiem. *Szczutek* — i polityka! To coś nakształt projektu, ażeby Linkowskiego wybrano burmistrzem miasta Lwowa, albo ażeby autorowi ody na śmierć George Sand kazano wykładać logikę na uniwersytecie. Cokolwiekbądź nie potrzeba rozpaczać z góry, wszak i *Gazeta Narodowa* wychodzi i ma także jakąś swoją politykę, tylko że się w niej nikt zorjentować nie może. *Wem Gott gibt ein Amt, dem gibt er auch Verstand*; skoro *Szczutek* przydzie do przekonania, że Kragujewacz nie jest stolicą Czarnogóry, jak to wydrukował z najpoważniejszą pod słońcem miną w swoim *Noworoczniku*, to i polityk jeszcze kiedyś z niego będzie.

Jan Lam.

Listy z Warszawy

Aurelego Maura.

(Dokończenie).

Warszawa — Czerwiec — 1876.

Równocześnie z *Ateneum* powstał dwutygodnik illustrowany dla młodzieży i dzieci *Świat*. Niespełnionem zadaniem pisma pedagogicznego u nas było przeszczepienie do wychowania nowych jego metod, opartych na teorji Froebla i innych w tej gałęzi umiejętności reformatorów, którzy zjednoczywszy zabawę z nauką, wskazali sposoby wpojenia maximum wiedzy przy minimum jej trudów. Przy odpowiednio dobranych i usystematyzowanych środkach rozwijania młodego umysłu, metoda ta posługująca się wykładem obrazowym, doświadczalnym, przyrzeka i daje wielkie rezultaty.

Dziecko po stopniach ciekawych, pouczających zabawek dochodzi zwolna do pojęć wyraźnych i dokładnych, niezmąconych bezładnemi wyobrażeniami mechanicznej tressury. Szczęśliwym też pomysłem i ważną stroną *Świata* są dodawane do każdego numeru tablice instruktywnych zajęć i gier dziecinnych. Wyplatanie papierem, modelowanie z gliny, wyszywanie, tkactwo papierowe i tym podobne w kolorowanych rysunkach podawane wzory użytecznej rozrywki, są niezmiernie ważnym żywiołem pisma. Część literacką składają powiastki, życiorysy, popularne artykuły naukowe, opisy mieszowości itd. Jedna tylko właściwość *Świata* jest zdaniem mojem, błędną. Mianowicie operuje on w zbyt rozszerzonem kole pedagogicznem, obejmującem dzieci bardzo małe i młodzież dość rozwiniętą. Skala umysłów, dla których pismo przeznaczone jest wzięta tak nieproporcjonalnie, że nastrój artykułów bywa albo za wysoki dla jednej połowy tej skali, albo za niski dla drugiej. Młodzi czytelnicy albo nie zrozumią prelekcji: *O siłach natury*, albo nie zajmą się *grą w Bąka*. Otóż pytanie, czy za wiele jest dobrze? Wyznajemy jednak, że musi zakres pisma dogadzać potrzebom i gustom, skoro zyskało odrazu szeroką prenumeratę.

Wspomniałem o zamieraniu poważnej literatury u nas. Pokazują się jednak od czasu do czasu elukubracje, które bodaj czy nie większy wzbudzają żal, niż te, których napróżno wyczekujemy. Ot np. profesor warszawskiego Uniwersytetu p. H. Struve wydał swoją *Syntezę dwóch Światów*. P. S. należy do tej szkoły niemieckich filozofów, którzy z racji wszechmądrości swego przedmiotu, uważają się za upoważnionych do sądzenia z jednakową kompetencją o wszystkiem. Więc też i nasz filozof pisuje o malarstwie, dramacie, powieści, historji, antropologji, psychologji, rzeźbie, muzyce itd. Woda też, ciepła woda, po której nie pływają nawet rzadkie kółka głębszych myśli, wpada z tych medytacyj do kanałów kilku pism tutejszych. *Synteza dwóch Światów* jednak miała być takim ekstraktem mądrości, że odrobina jej rozpuszczona w najobfitszem rozmyślaniu, zdoła pożywić czytelnika na lata całe. Autor zwyczajem swej sekty, idealnego realizmu, stara się pogodzić *dwa Światy*: rozum i uczucia, niebo i ziemię, ducha i materję, i tym podobne sprzeczności. Na jeden więc świat, według niego, składa się rozum, ziemia i materja... na drugi — uczucie, niebo i duch... Samo to zestawienie pokazuje, że szan. profesorowi przydałaby się jeszcze *Analiza jednego świata* - *Logiki*. Bo czyż np. pojęcia *rozum* i *ziemia* są równorzędne i zarazem stanowią antytezę do pojęć: *uczucie* i *niebo?* Czy zresztą pojęcie *nieba* ma jakąkolwiek wartość filozoficzną? Cały wykład dziełka przebrany jest w szaty poetyczne najlichszego gatunku. *Myśl* np. przedstawiona jest jako *brat! uczucie* zaś jako *siostra!* Po drabinie do nieba przystawionej, wlazła owa siostra i poczęła wabić za sobą brata. Ten długo się wzbraniał, ale nareszcie ustąpił. W niebie jednak zrobiło się mu niedobrze, namawiał zatem siostrę, ażeby z nim powróciła na ziemię. „To ją srodze rozgniewało... A gdy wciąż się szamotał i w końcu nawet przemocą siostrę do powrotu na ziemię zmusić usiłował, natenczas zniecierpliwiona zawołała: Zleć tedy na ziemię, ty tchórzu, robaku, ty prochu marny! I strąciła brata z drabiny niebiańskiej. Upadł.“ Czytelnika niespokojnego o zdrowie brata-myśli, ze smutkiem uwiadomić muszę, że „głowa i członki pozostały całe, lecz od wstrząśnienia serce mu pękło.“ Tak piszący uczeni (!) są u nas profesorami uniwersytetu i... mistrzami filozoficznej szkoły. Szczęście, że ten zaszczyt dostał się idealnemu realizmowi.

Niedawno zakończył się w naszej prasie zabawny proces. Przed kilku laty jakiś Ludwik Niemojewski, powróciwszy z Rossji, gdzie miał przebywać jako wygnaniec, wydał swoje podróże po Syberji i Mongolji, i zyskał sobie w kilku pismach gościnne przyjęcie. Tymczasem Polacy zesłani na Sybir, otrzymawszy jego książkę a znając dobrze autora, ogłosili za pośrednictwem *Niwy* ostrzeżenie, ażeby sławetnemu podróżnikowi nie wierzono, bo nigdy w opisywanych przez siebie okolicach nie był, a cała jego książka jest albo zmyśleniem albo plagiatem. P. N. jednakże nie należy do tych ludzi, którzy się kapeluszem nakryć pozwalają, zwłaszcza gdy przeciwnicy oddaleni od pola walki tysiące mil. Jakkolwiek więc zarzutów nie obalił faktami, zaprzeczył je gołosłownością. Na jego nieszczęście i do Sybiru poczta chodzi. Wkrótce też przybyła ztamtąd tak straszna dla bohatera nauka, że ją *Niwa* zaledwie w drobnej części opublikować mogła. Pod tym ciosem bohater zamilkł, i tylko wynagradza sobie porażkę strzelaniem z za płotu *Tygodnika Mód* do... nihilistów, *sive* pozytywistów. Za lat dwa będzie to nowy *pater nostrae patriae*, broniący kraju od tych, którzy się uczą, pracują, nie rabują cudzych książek, nie kłamią i... nie ściągają na siebie klątwy polskich wygnańców w Sybirze.

Konkurs dyrekcji warszawskiego teatru rozstrzygnięty — ku wielkiemu wszystkich... niezadowoleniu. Boże!... zbaw wszystkich komissjonierów konkursowych u nas! bo niedługo rasa ta pójdzie w poniewierkę. Pierwszej nagrody nikt nie dostał, bo nie było sztuki ani *bezwzględnie* dobrej, ani *względnie* najlepszej. Rozumiecie? Konkurs chciał sztuki bezwzględnie dobrej, albo z przysłanych najlepszej, i żadnej według swego nie znalazł gustu. Dziwi mnie bardzo, że konkurujący nie spostrzegli w głowach swych sędziów braku piątej klepki. Bo po czemże poznać utwór *bezwzględnie* dobry i kto go napisze? Ponieważ sykstyńska Madonna ma, według znawców, 13 błędów, więc gdyby Rafael był ją przysłał na malarski konkurs, złożony w Warszawie z takich sę-

dziów jak dramatyczny, nie przyznaliby mu pierwszej nagrody. Powtóre czy można przypuścić taki wypadek, ażeby między kilkudziesięcioma nadesłanymi utworami, nie było *względnie* najlepszego? Albo więc logika konkursowiczów znajduje się w opłakanym stanie, albo — jak twierdzą sceptycy — *mit 600 Rubeln ist was nicht richtig*. Pod natchnieniem tego wypadku wzywam wszystkich dramaturgów, ażeby na rok bieżący posyłali swoje utwory na konkurs krakowski, bo tam kto dostanie guldeny jest nagrodzonym, kto nie dostanie jest także nagrodzonym — chwałą klątwy rzuconej przez ciało z ciała — wychowanicy Baalamowej. Doprawdy, gdyby mnie kiedy niebo skarało pokusą napisania dramatu lub komedji, ominąłbym Warszawę, Poznań i Lwów, a pojechałbym wprost do Krakowa.

Niezależnie od konkursu wystawiono prze paru dniami komedję E. Lubowskiego: *Przesądy*. Rzecz ta ma trochę banalności, owinięta na założeniu trochę skrzywionem, ale napisana żwawo, barwnie i co najgłówniejsza sumiennie. *Elle fait la caisse* a to tymczasem dużo znaczy.

Natomiast wczoraj przedstawiony *Koniec Stuartów* Falkowskiego porodzierał publiczności kąty ust od.... ziewania i jednego wieczora doczekał się swego końca na tutejszej scenie. Wątpię czy wytrzyma dwa przedstawienia, co jednak nie przeszkadza, ażebyście nie mieli doniesień, że sztuka wywarła piorunujące wrażenie. Bo nic bardziej jak nasza krytyka nie wywołuje na usta wykrzyku: *all is true!* Jeżeli zaś i to jest prawdą, że krytyka jest wykładnikiem oświaty narodu, to nasz.... Dajmy pokój wnioskom i starajmy się, ażeby w naszym umyśle odbywało się jak najwięcej syllogizmów nieświadomych.

Kronika paryska.

(Dokończenie).

Paryż — Maj 1876.

Wiktor Hugo i Louis Blanc, ten ostatni, dodajmy nawiasem, stracił w tych dniach żonę, wystąpili niedawno w teatrze du Chateau d'Eau, z publiczną konferencją na korzyść deputacji rzemieślniczej, jadącej na wystawę do Filadelfji. Jak jeden tak drugi wygłosili długie i hucznymi oklaskami pokryte perory. Treścią tych były rozumie się dzieje cywilizacji i postępu, w imieniu których garstka wybranych przez lud paryski reprezentantów, jedzie braciom z za Atlantyku uścisnąć ich dłonie spracowane. Kanwa szeroka, to też wyobrazicie sobie łatwo, jakiemi ją ci dwaj mistrze elokwencji zadzierżgać musieli kwiatami. Wiele się szczególniej z ust Wiktora Hugo malowniczych posypało antitez, wielce oryginalnych porównań, wiele brzmiących epitetów, tego wam opisywać nie kusimy się zgoła. Porównać to chyba z niagarską kataraktą, lub z jakimś fantastycznym z „Tysiąca i jednej nocy" fajerwerkiem. Trzebaby zaiste być bardzo wybrednym, by mieć coś do zarzucenia formie tych dwóch mistrzów słowa. Nie tak się rzecz ma co do pojęć formą tą obleczonych. Zarzuciłbym im naprzykład wąskość horyzontów, kiedy mowa o rzeczach tak ogólnie ludzkich, jak postęp, światło, wolność, prawo do pracy, i t. d., i gdy mowa o nich zwłaszcza w obliczu dwóch hemisfer, święcących wielkie przemysłu święto, dlaczegóż szerokie a wzniosłe te idee zastosowywać ciągle do jednego plemienia, ba, do jednego tylko grodu? W mowach Wiktora Hugo i Louis Blanc'a, dźwięczał Paryż i nic więcej nad Paryż, jak gdyby Paryż jeden do tych zdobyczy cywilizacji wyłączne posiadał prawo, jak gdyby one były monopolem Paryżan. W mowie jakiegoś małego urzędniczka magistratu, wygłoszonej z okazji jakiegoś małego miejskiego święta, wyłączność taka byłaby bardzo naturalną i nie zadziwiłaby nikogo. W mowie atoli Wiktora Hugo, wielkiego europejskiego poety, w mowie Louis Blanc'a, znakomitego europejskiego publicysty, wyłączność taka razi i dziwi zarazem. Wymagamy od każdego w miarę sił jego i znaczenia. Rolą strumyka jest użyźniać przybrzeżne niwy; rolą Oceanu jest łączyć z sobą światy. Wiktor Hugo nieraz w poezjach swoich, naprzykład w *Les châtiments* porównywał siebie, pierś swą i nurtujące w niej potęgi, do wzburzonych fal Oceanu. Dlaczegoż w mowie ostatniej, zakrawa na wspaniałą zawsze, lecz już mury jednego tylko grodu obmywającą rzekę? Lud paryski? Zapewne! zapewne! Wielkie on w sprawie cywilizacji położył zasługi — nikt temu nie przeczy. Zburzył Bastylję, gniazdo tyranji. Wieczna mu za to chwała! Ale czy i wielkich grzechów nie ma on także na sumieniu? Czy nie burzył też wzniosłych a niewinnych dzieł sztuki? Czy nie mordował bezbronnych? Czy nakoniec nię splamił się największem w dziejach świata bezprawiem, „Bartłomiejową nocą?" Z drugiej strony, zasług w sprawie cywilizacyjnej, mniej może wybitnych, lecz opłaconych mniejszym także krwi przelewem, nie braknie i gdzieindziej. Jestże naród, z wyjątkiem chyba hord mongolskich, jestże stolica, gród wielki jaki, o którymby powiedzieć można, że nic zgoła w tymże szlachetnym nie zdziałał kierunku? Kto wie nawet czy palma pierwszeństwa przy ścisłym a bezstronnym obrachunku na Paryżan zostałaby stronie. Są ludy, które ideę wolności przez Francję *à coups de guillotine* z wielkim aplikowaną hałasem, przed nią, a łagodniej, a na mniej krwawym wypisały sztandarze. Zapomniał o tem, czy nie chciał pamiętać poeta, i mimowolnie może, na niekorzystne dla jego osoby naprowadza nas wnioski. Lud paryski, przy obecnym stanie rzeczy, to wszechwładny pan tutaj i monarcha. To rozdawca prebend, senatorskich i innych godności. Jak każda ziemska potęga, i on potrzebuje dworaków, co by mu pochlebstw kadzili dymem. Miałażby ta rola sędziwego skusić wieszcza? Chcielibyśmy wątpić, ale wyznać musimy, że to przypuszczenie wielkie do prawdy ma podobieństwo. Boileau nazywał Ludwika XIV. „niezwyciężonym" nawet wtedy, gdy Marlborough i książe Eugenjusz Sabaudzki, spędzali jego jenerałów z pola wszystkich potyczek. Wiktor Hugo zwie lud paryski w i e l k i m, ś w i ę t y m, n i e s k a l a n y m, nawet wtedy, gdy sporo jego reprezentantów odsiaduje w Nowej Kaledonji nie tyle za sprawy polityczne, co za pospolite, a w czasie komuny popełnione. Pochlebstwo równe pochlebstwu, a że skierowane ku temu, który piastuje władzę, więc wyklucza wszelkie bezinteresowności iluzje. Smutny efekt perory, która i z okazji wielkiej uroczystości i z widnej wygłoszona kazalnicy, mogłaby poecie przysposobić niemało laurów trwalszych i piękniejszych, niż chwilowa popularność, a która dzięki wyżej wymienionym racjom, na zwykłym spełzła panegiryku.

Resztę listu drobnemi dopełnimy nowinami. W liczbie tych ostatnich ta o panu Belinie, byłym korespondencie z Paryża do „Dziennika Warszawskiego," który tu dziś na własną rękę obszerne, a tymże co i byłe korespondencje duchem natchnione, przedsięwziął wydawnictwo. Jego *Le Spectateur (Revue Franco-Russe)*, wychodzi zeszytami, dwa razy na miesiąc, mizdrząc się z kolei to do Rossji, to do Francji, i dwóch tych potęg wieszcząc pojednanie na grobie zapomnianej Polski. O ile znamy Francję i jej dzisiejsze usposobienia, głos ten nie będzie głosem wołającego na puszczy. Komercjalny węch pana Beliny, stosowną do podobnej entreprizy doradził mu chwilę. *La crainte de Bismarck aidant*, Francja nader prędko pozbędzie się starych swych sympatyj ku Polsce, i nowy ten prąd opinji „Spektatorowi" licznych przysporzy prenumeratorów. Co najsmutniejsza, to to, iż rolę takiego stręczyciela przyjęła osobistość, polskie nosząca nazwisko. Lecz do czegoż p. Belina nie jest zdolnym! Niestety! Cóż w tem dziwnego? Nieszczęście uszlachetnia ty ko zacne i podniosłe dusze. Nieszczęście dusze mierne a poziome spycha w większą przepaść upodlenia. A myśmy tak nieszczęśliwi... A dusz miernych i poziomych taka większość wszędzie...

Pan hrabia Ksawery Branicki, zapoznany kandydat na senatora, wystąpił z dość obszerną polityczną broszurą poważnej treści. Tytuł: „Polityka przeszłości i polityka przyszłości." Szkic konstytucyjny. (Paryż. Wydawca Dentu.) Dziełku temu nie zbywa na zaletach, i jakkolwiek z fundamentalną jego nie zgadzamy się zasadą, uznajemy w nim jednak niektóre strony dobrze pomyślane i jasne.

Autor monarchistą być nie chce, a w praktyczność Rzeczypospolitej nie wierzy; proponuje więc jak gdyby „juste milieu" Rzeczpospolitę z prezydentem dożywotnim, wielką obleczonym władzą i noszącym tytuł „Imperatora," innemi słowy pragnie on „Cezaryzmu."

Większa jednolitość polityki, większa sprężystość w działaniach, porządek i bezpieczeństwo publiczne na trwalszych fundamentach, oto według autora (i nie bez pewnych racyj) dobrodziejstwa, jakieby koniecznie wypłynęły z takiej formy rządu. Nie przeczymy, ale pod jednym bardzo trudnym do wypełnienia warunkiem. Mianowicie, iż autor znajdzie i przedstawi nam drugiego Washingtona, któryby wielką obleczony władzą, przez całe życie na imperatorskim rozsiadając się tronie, dynastycznym oparł się zachciankom, i o posadzeniu na nim swego potomstwa ambitnie nie zamarzył. Zbyt niedawne przykłady dwóch z kolei Bonapartych i dokonanych przez nich zamachów stanu, dowodzą do zbytku, że takich Washingtonów znaleść nie łatwo, i że ten, który umykając przed niepraktycznością Rzeczypospolitej, na tak praktyczne wpada pomysły, czyni jak gdyby przed deszczem chronił się pod rynwę. Tron elekcyjny, władza powierzona najgodniejszemu, rzecz ponętna i ładnie brzmiąca w teorji, w praktyce dzięki krewkości natury ludzkiej, rzadko kiedy do zbawiennych doprowadzą rezultatów.

Ot i list niniejszy dobiegł do końca. Przyszły, jeśli pozwolicie, poświęcimy dorocznej Wystawie Sztuk Pięknych, którą otwarto 1. maja na Polach Elizejskich, w wyznaczonym na ten cel pałacu. O ile słyszałem od znajomych mi malarzy, ma się ona w tym roku niezwykłem odznaczać bogactwem, i kilka młodych a bardzo świetnych na jaw wyprowadzi talentów.

Jakkolwiek już nieraz zawiodły nas podobne obietnice, ufnie jednak powiadamy: być może.

Do przyszłego więc listu

J. S. Chamiec.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Hygjena czyli nauka o zachowaniu zdrowia treściwie wyłożona przez dr. Bergera. Lwów. Nakładem księgarni W. Zawadzkiego 1876 str. 80.

Mało znajdujemy w literaturze naszej książek przeznaczonych dla szerszej publiczności, któreby zarówno treścią jak i popularnym, ściśle do przedmiotu zastosowanym wykładem, tak dobrze odpowiadały swemu zadaniu jak powyższe dziełko dr. Bergera. Sam już przedmiot jest wielce zajmujący. Kogoż bowiem nie obchodzi zdrowie własne i najbliższych mu osób, kto nie radby poznajomić się z umiejętnie a przystępnie podanemi środkami należytego pielęgnowania tego skarbu najcenniejszego z wszystkich dóbr ziemskich; boć nie od dzisiaj wiadoma prawda, że w zdrowem ciele zdrowa dusza; a od fizycznych warunków w znacznej części zawisło też i moralne całych społeczeństw zdrowie. Ostatniemi czasy zajmowano się u nas gorliwiej H y g j e n ą, mieliśmy w tym przedmiocie powtarzające się przez lat parę wykłady publiczne w Towarzystwie pedagogicznem, ale że pożytek wykładu ustnego z natury już swojej ogranicza się na mniej więcej szczupłe grono obecnych słuchaczy przeto nadzwyczaj w porę powziętą i pożyteczną była myśl dr. Bergera wydania w tym przedmiocie dziełka podręcznego, w którem osoby różnego wieku zwłaszcza zatrudniające się wychowaniem młodzieży, matki, nauczyciele, znajdą treściwie zestawione zasady tej ważnej nauki, i podane przestrogi i rady odnoszące się do życia powszedniego i wszystkich naszych stosunków domowych towarzyskich i publicznych. Autor rozpatruje ze stanowiska hygjenicznego całe życie człowieka, począwszy od urodzenia i wieku niemowlęcego aż do późnej starości; najznaczniejszą część książki poświęca D y j e t e t y c e, tj. nauce o pokarmach i napojach, gdy jak wiadomo należyte żywienie organizmu odgrywa obok innych warunków najgłówniejszą pod względem zdrowia rolę. Mówiąc o sztuce kucharskiej umieszcza wybornie zestawione spostrzeżenia o wpływie pokarmu na charakter narodowy. Jestto jeden z najbardziej zajmujących rozdziałów całej książki, w którym i psycholog i lekarz niejedną cenną znajdzie wskazówkę. Gospodynie nasze pouczyć się mogą w dziełkach dr. Bergera jak prowadzić kuchnię, aby w niej było wszystko zdrowem i posilnem, a usunąć co szkodliwe i niepożyteczne, panienki jak zachować płeć zdrową i czerstwą, jak pielęgnować zęby aby zachowały jak najdłużej białość perłową, pedagogowie jak urządzać izby szkolne, aby im nie brakło światła i przewiewu, architekci jak budować domostwa, aby odpowiadały ściśle

zasadom hygienicznym, osoby schorzałe i wiekowe, jak podtrzymywać upadające siły — słowem dziełko dr. Bergera dotyka wszystkich naszych stosunków, to też powinno się znaleźć w każdym domu i w każdem ręku, a księgarni p. Wł. Zawadzkiego za wielką poczytujemy zasługę, że zamiast o wiele więcej zysku przynoszącej belletrystyki, ima się wydawania rzeczy mniej popłatnych, ale bardzo pożytecznych.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Pani Helena Modrzejowska wystąpiła dotychczas na naszej scenie w dramacie W. Hugo „Angelo Malipieri“ i komedji Szekspira „Wiele hałasu o nic.“ Znakomity talent artystki jest tak już powszechnie uznany, że zbytecznem jest prawie mówić, że grała wybornie. Porównując jednak oba przedstawienia, trzeba przyznać, że rola kapryśnej Włoszki w szekspirowskiej komedji była przez nią daleko sympatyczniej oddaną, niż Tisby w dramacie W. Hugo. Rozumne pojęcie roli, głos miły, dźwięczny i silny, wypracowana mimika i nieporównana elegancja w ruchach, oto zalety, które stawiają panią Modrzejowskę na samym czele naszych artystek dramatycznych.

— Panna Deryng, utalentowana artystka do ról dramatycznych, odjechała do Warszawy, pożegnawszy lwowską publiczność benefisem, na którym odegrano „Posażną jedynaczkę“ Fredry i piaty akt Götowskiego „Fausta.“ W pannie Deryng scena nasza traci pierwszorzędną siłę, którą oby jak najprędzej można zastąpić.

— „Chorób Galicji“ zeszyt III opuścił właśnie prasę. W nim jest mowa o „pasożytach,“ pod którymi autor rozumie próżniaczą pseudoarystokrację galicyjską, i „pijawkach,“ do których zalicza niesumiennych adwokatów. Zdania naszego nie wyjawiamy o tej publikacji, co czytelnicy „Tygodnia“ zrozumią po wyjściu całej książki... wolno nam jednak zanotować, że polska prasa, głównie zaś *Dziennik Polski, Dziennik Poznański* i krakowskie *Szkice,* przyjęły „Choroby Galicji“ bardzo przychylnie. *Dziennik Poznański,* po ukazaniu sie IIgo zeszytu napisał między innemi: „Wszystkie dotykane przez niego sprawy, najważniejsze i najpoważniejsze, umie autor „Chorób Galicji“ w sposób tak popularny, tak zajmujący, tak przystępny traktować, żę czyta się publikację jego z największą przyjemnością, jakby najbardziej interesujące pamiętniki, lub wyborną jaką powieść.“ — Cała książka będzie się składać z 5 zeszytów. Cena pojedynczego zeszytu 50 ct. Nabywać można we wszystkich księgarniach.

— Zarzuty czynione przez pewnego współpracownika *Gazety Narodowej* teraźniejszej redakcji *Szkoły*, zostały już ostatecznie zbite. W numerze 26 *Szkoły* z d. 24. czerwca rb., znajduje się wyciąg z protokołów posiedzeń XI—XIV, zarządu głównego Towarzystwa pedagogicznego, w którym czytamy między innemi: „Przyjęto do wiadomości sprawozdanie komisji, wybranej w myśl obowiązującego regulaminu do ocenienia kierunku *Szkoły* za ubiegły kwartał. Uznając, że obecna redakcja prowadzi wzorowo dział dydaktyczno-metodyczny w zakresie szkół ludowych, wyraża komisja życzenie: 1) ażeby redakcja postarała się o stałych korespondentów, którzyby z różnych miejcowości Galicji donosili o sprawach, zostających w związku ze szkolnictwem, i 2) ażeby Zarząd główny dostarczał redakcji więcej materjału do artykułów kierujących, poświęconych głównie sprawom organizacyjnym; przyczem zauważano, że rozwój pisma zależy od gorliwego współudziału w pracy członków Tow. pedagog.“ — Przy tej sposobności nie możemy utaić naszego zdziwienia, że *Dziennik Poznański* w jednym z ostatnich numerów umieścił korespondencję ze Lwowa, którego autor twierdził, że *Dziennik Polski* i *Szczutek* występując w obronie p. Łucjana Tatomira przeciw napaściom p. Agatona Gillera, uderzyły na wszystkich emigrantów (?) przebywających w Galicji. Co do nas wiemy, że oba powyższe pisma mówiły zawsze tylko o p. Gillerze, z góry oświadczając, że w Galicji nie znają żadnych polskich emigrantów, a nawet dziwiły się, że ich znalazł p. Giller. Ale widocznie są ludzie, którzy chcąc spór zaostrzyć, nie cofają się przed żadną insynuacją, żadnym strzałem ubocznym, byle wmówić w naiwnych, że niesłusznie są pokrzywdzeni. Im możemy tylko powiedzieć: więcej prawdziwej uczciwości, a mniej frazesów i skarg małodusznych!

— P. Edward Błotnicki rozpoczął bardzo pożyteczne wydawnictwo polskich obrazków dla dzieci, chąc tym sposobem uczynić konkurencję niemieckim obrazkom, których się niezliczona ilość w naszym kraju rozchodzi. Obrazki te będą przedstawiać sceny z sztuk polskich z odpowiedniemi napisami, wojsko polskie, lud z rozmaitych okolic itd. Dwa arkusze które dotychczas odbito wyobrażają sceny z komedji Fredry „Zemsta“. Wykonanie ich jest bardzo staranne i prawdziwie artystycznie pomyślane. Polecamy to wydawnictwo szczerze naszym czytelnikom.

— P. Wilhelm Czerwiński wydał w nadwornym składzie nut S. Schreibera w Wiedniu „Mazurkę“ fis moll. Jest to utwór salonowy w stylu klasycznym, pełen elegijności i odznaczający się niepospolitą harmonją. W przeciągu tego roku wyjdą tego samego autora 2 mazurki i sonata na fortepian.

— W poprzednim numerze przytoczyliśmy zdanie dziennika włoskiego *Opinione* o najnowszym obrazie Siemiradzkiego. Dziś powtarzamy słowa dziennika francuskiego, *Journal des Débats,* którego rozgłośna sława dostateczną jest rękojmią, że zdanie jego nie jest stronnicze. I tak piszą z Rzymu do *Journal des Débats:* „Wystawa obrazów urządzana corocznie w budynku przy Porta del Popolo w Rzymie, nie nastręczyła w tym roku nic godnego uwagi powszechnej, natomiast czujemy się w obowiązku zalecić obraz wystawiony w Instytucie Sztuk pięknych przy ulicy Ripertta. Ukazanie się tego znakomitego dzieła było wypadkiem, który żywe sprawił wrażenie na wszystkich warstwach publiczności rzymskiej. W obecnej chwili jest on głównym przedmiotem rozmów w towarzystwach tutejszych. Obraz ten wykonany został przez Henryka Siemiradzkiego, młodego malarza polskiego, urodzonego w Charkowie w r. 1843, którego ojciec umarł (?) jenerałem w służbie rossyjskiej. Przedmiotu do obrazu dostarczył artyście ustęp Tacyta, w którym tenże wielki historyk opisuje prześladowanie chrześcjan, obwinionych przez Nerona o spalenie Rzymu. „Do ich męczarni, pisze Tacyt, dodano urągowisko. Obwijano chrześcjan w skóry zwierzęce, aby oddać ich na pożarcie psom, krzyżowano lub palono ich na kształt pochodni dla rozproszenia ciemności nocnych. Neron przeznaczył ogrody swego pałacu na te widowiska.“ Wzruszająca scena przedstawiona przez p. Siemiradzkiego zajmuje 5 metrów szerokości płótna i 2 metry 50 centymetrów długości. Po prawej stronie widać szereg męczenników obwiniętych w plecionki maczane w smole, i przywiązanych sznurami do szczytu wysokich słupów uwieńczonych wieńcami kwiatów. Pierwszego męczennika górna połowa ciała znajduje się po za obrazem. Drugi męczennik, starzec z siwą brodą modli się wzniosłszy oczy ku niebu. Młoda dziewczyna spokojna i z wyrazem rezygnacji zwraca się ku starcowi, który może jest jej dziadkiem, sząc mu ostatnie pożegnanie. Inni, mniej ciężko obwinieni, nikną w perspektywie. Pod słupami stoją chrześcianie skazani na katusze, kaci zaś przystawiają drabiny, aby zapalić te żywe pochodnie. Ogień już rozniecony; ktoś daje znak powiewając płachtą czerwoną: widowisko wkrótce się rozpocznie. Po lewej stronie, na wschodach zewnętrznych sięgających do wysokości gzemsów pałacowych, skupił się tłum służby dworskiej. W dole na pierwszym planie pełno niewolników, kuglarzy, muzykantów i nierządnic oddających się orgji. Pomiędzy nimi dostrzedz można kilku senatorów uwieńczonych różami. Kobiety leją wino do kielichów, mężczyźni piją oczekując przyrzeczonej uroczystości. Takim jest w krótkim zarysie obraz p. Siemiradzkiego, wywołujący niezmierne wzruszenie i ciekawość. Wielbią tu jego twórczość poetyczną, dzielne wykonanie pomysłu, poprawność rysunku, bogactwo kolorytu i głęboką znajomość obyczajów epoki. Według krążących wieści obraz ten ma być wysłany do Paryża. Jeśli tak jest w samej rzeczy, należy powinszować artyście zamiaru, gdyż wielkie i słuszne powodzenie dzieła sztuki, wtedy dopiero na prawdę ma miejsce, gdy jest uświęcone uznaniem znakomitych artystów i światłej publiczności stolicy dobrego smaku.“

— Podług dzienników warszawskich pan Kopystyński zebrawszy towarzystwo sceniczne z lepszych sił teatrów prowincjonalnych, oraz z poznańskiego, krakowskiego i lwowskiego, ma zamiar stale osiąść w Lublinie, w którym to celu zawarł już umowę o tamtejsze teatra, zimowy i letni.

— Donoszą z Wersalu, iż dyrektor sztuk pięknych przeznaczył był z sumy otrzymanej na zakupno dzieł sztuki, 275.000 franków na obrazy religijnej treści, odpowiednie dla kościołów. Atoli wydział finansowy, w porozumieniu z Waddingtonem, ministrem oświaty, zredukował tę sumę na 100.000 fr., kredyt zaś na zakupno dzieł żyjących artystów podniósł do 500.000 franków. Z cyfry tej 100.000 fr. użyte będą na dzieła rzeźby.

— Verdi popisywał się ostatniemi czasy w Paryżu przed doborową publicznością kwartetem smyczkowym, jedną z pierwszych swoich kompozycyj, o ile jednak twierdzą znawcy, wcale nic wywołał nim wrażenia.

— Jeden z ostatnich numerów pisma angielskiego „Daily News“ zawierał niezwykły anons, bo wydrukowany nie mniej jak w 75 językach. Jedna odbitka tego ogłoszenia, zajmującego całą kolumnę wspomnianego pisma, kosztowała podług obliczenia „Bibliographie de la France“ 500 funtów!

Podróże.

— Na początku b. m. wypłynęła z Bergen szwedzko-norwegska ekspedycja, przeznaczona do badań na północnej części atlantyckiego Oceanu. Na pokładzie okrętu ekspedycji znajdują się: metereolog Mohn, zoologowie Sars, Danielsen i Friele, chemik Svendsen, i jako rysownik, pejzażysta Schiertz. Szefem wyprawy jest kapitan Wille.

— Z Londynu wyruszyła 18 bm. ekspedycja, do północno zachodniej Afryki, której zadaniem będzie dociec gruntownie, czy projekt utworzenia jeziora z części Sahary jest w praktyce wykonalnym. Również zbadać ma wybrzeża, celem odkrycia dobrej przystani. Naczelnikiem tej wyprawy jest Donald Mackenzie.

Roboty publiczne.

— Roboty probiercze około podmorskiego tunelu na wybrzeżu francuskiem, rozpoczęto już w Sangatte, mianowicie wykopano szyb 40 metrów głęboki. Roboty postępują szybko prowadzone dniem i nocą. Jedna olbrzymia pompa dobywa ustawicznie wodę, na którą napotykają w wielkiej ilości. Jak wiadomo, ma tunel ten posiadać głębokość 100 metrów po nad powierzchnią dna morskiego. Następnie zamierzają wyżłobić pod morzem w wapiennym pokładzie, galerję 1 kilometr długą. To dopiero będzie próbą, i jeźli nie okażą się przytem trudności, uniemożliwiające dalszą pracę, w takim razie budowa tunelu zostanie bez kwestji rozpoczętą.

Wojskowość.

— W jesieni br. mają się odbyć na Morawji wielkie ćwiczenia wojskowe, a to na uciążliwym terenie pomiędzy Auspitz, Nikolsburgiem i Lundenburgiem. Trwać mają od 4go do 7go września, a będą w nich uczestniczyć: 92 batalionów (łącznie z 14 batalj. obrony krajowej) piechoty, 48 szwadronów konnicy, i 122 dział (większa z nich część Uchacjuszowskich). Poprzednio jednak odbędą się na Węgrzech nad jeziorem Neusiedlerskiem większe ćwiczenia konnicy, pod wodzą jenerała konnicy barona Edelsheim Gyulay. Udział w nich mieć będą dwie dywizje, każda z 20 szwadronów, z dodatkiem po jednej baterji konnej, składającej się z 12 dział Uchacjuszowskich.

— Liczba wojsk moskiewskich, które w tym roku odbywać będą ćwiczenia obozowe, wynosi podług „Russk. Inwalida,“ 483 bataljonów piechoty, 216 szwadronów konnicy regularnej, 105 sotni kozaków, z 1082 dział. Ogółem będzie 35 obozów.

Nekrologja.

— W Wiedniu umarł dnia 29. b. m. słynny znawca muzyki i kompozytor A. W. Ambros. Pisał wiele dzieł z teorji muzyki, z których najznaczniejszem jest „Geschichte der Musik.“ Recenzje jego, które umieszczał w wiedeńskich dziennikach, były powszechnie cenione.

ROZMAITOŚCI.

— Na wschodniem wybrzeżu dzisiejszej przystani Skalanova w Małej Azji, kilka mil na południe od Smirny leżało w odległej starożytności bogate miasto handlowe Efezus, zborny punkt handlu przedniej Azji. Czem dziś dla świata Londyn lub Nowy York, tem było Efezus dla Małej Azji, sławne swojemi bogactwami i przepychem, obydwoma portami,—jednym morskim, zwanym Panormus a dziś zamulonym do szczętu, drugim, zbudowanym na wielkie rozmiary nad spławną rzeką Kaystros,—olbrzymią twierdzą, wspaniałą świątynią Diany czyli Artemis (t. z. Artemision), a później tem głośne i uwiecznione, że apostoł św. Paweł, przebywał w niem dwa lata, i tu stworzywszy kolebkę dla Chrześcijaństwa, stąd je rozprzestrzeniał na Grecję i Italję. Pyszna świątynia Diany położona pomiędzy miastem a portem, sięgająca początkami swej budowy do 6go wieku przed Chrystusem, dopiero zaś w 200 lat później ukończona, została, jak wiadomo ogólnie, spaloną przez Herostrata tej samej nocy, w której się urodził Aleksander Wielki. Pod kierownictwem Dinokratesa odbudowano ją jeszcze świetniej, i teraz dopiero stała się prawdziwą ozdobą architektury starożytnej. Długie wieki przetrwała, ściągając do siebie tysiące pielgrzymów, aż Nero ją złupił ze skarbów olbrzymich, a w r. 262 po Chr. Gotowie spalili i spustoszyli do szczętu. Takie są dzieje tego głośnego w historji starożytnych przybytku. Co dotyczy samego Efezu, to miejscowość ta była od najdawniejszych wieków za świętą uważana. Pierwotnie zwano ją Ortygia, Ptelea itd. Z przybyciem Jończyków z Europy powstało tu miasto, i rosnąc stopniowo w znaczenie i bogactwa, wybiło się w końcu na samodzielność. Około r. 560 przed Chr. zdobył je Krezus poczem zostawało, na przemiany pod greckiem i perskiem panowaniem, aż zwycięstwo Aleksandra Wielkiego nad rzeką Granikus, wróciło mu niezależność starą. Po śmierci Aleksandra, Lysimachus pokusił się o bogate Efezus, zdobył je i oszańcował; później zajęte przez Antigona wcielone zostało przezeń do syryjskiego państwa, i w tem poddaństwie przetrwało aż do podbicia Małej Azji przez Rzymian. Nowi zdobywcy, organizując świeżo zajęte prowincje w Azji podzielili wszystkie na 9 okręgów sądowych i Efezus naznaczono stolicą jednego z takich obwodów. Pod panowaniem Rzymian zyskało ono znacznie na bogactwie i ludności, atoli w trzecim wieku po Chr. zostało splądrowane i spustoszone przez Scytów i Gotów, a przy podziale rzymskiego państwa w r. 395 przypadło wschodnio rzymskiej części, i odtąd poczęło chylić się stanowczo do upadku. W XI wieku popadło w moc Turków, w r. 1205 przeszło na dłuższy czas w posiadanie bizantyńskiego cesarstwa, aż Turcy je napowrót odebrali i od tego czasu stale utrzymali. Popatrzmy dziś na kartę Małej Azji, a na próżno będziemy szukali na niej nazwy Efezus. Cóż się więc stało z owym potężnym grodem, jednem z licznych ognisk cywilizacji greckiej? Mogiła gruzów, z pośród których wysterczają szczątki ruin z sławnej świątyni Diany, z olbrzymiego Akropolis, i starożytnego wodociągu. Na miejscu potężnego miasta rozsiadła się dziś nędzna wioska turecka Aisaluk; gdzie ciągnęły się długie wspaniałe ulice tego Londynu starych wieków, tam wznoszą się obecnie szerokie wały z rumowisk, porosłe chwastami. Nawet okolica zmieniła niezmiernie swą powierzchowność. Szczątki wspaniałego portu Panormus nie leżą obecnie nad morzem, ale w odległości od niego dwu kilometrów. Wartki niegdyś Kaystros, dziś leniwie wchodzący do morza kilkoma kanałami, utworzył szerokie i nieprzystępne delta z namulisk i alluwiów. Wspomniane wały gruzów, częścią otwarte, częścią grubym pokładem ziemi pokryte, rozciągają się przez góry i doliny, na długość pięciu a szerokość trzech kilometrów. Dla turysty przedstawiają one widok mimowoli jakimś rzewnym smutkiem przejmujący. Myśl o znikomości wszystkiego, co ziemskie, gwałtem cisnie się do głowy. Za to dla archeologa nieoceniona to kopalnia bogactw. Dowodem tego najlepszym ogromna ilość dzieł w rozmaitych językach, traktujących wyłącznie o staro-żytnem a dzisiejszem Efezie. Atoli od 15 lat dzięki hojnej pomocy angielskiej zarządzono tam systematyczne poszukiwania naukowe. Początek w tej mierze zrobił uczony angielski J. T. Wood, który zjechawszy w r. 1862 na miejsce, własnym kosztem, narażając się na tysiączne trudy i niewygody, przez 12 lat przedsiębrał poszukiwania. I w rzeczy samej odkrył ruiny, które pomogły mu do zorjentowania się pod względem topografji miasta. Między innemi odgrzebał gruzy Odeonu tj. lirycznego teatru, a na poszukiwania dalsze w tem miejscu dostał zasiłek 100 funtów od administracji brytyjskiego muzeum. Roboty te rozpoczął w 1866 a w dwa lata później posłał już do Londynu nie mniej jak 77 dużych skrzyń, napełnionych cennemi okazami jońskiej rzeźby i architektury. W styczniu 1869 napotkał w dość wielkiem oddaleniu od domniemywanego pierwej miejsca, ruiny świątyni Diany, zakupił cały obszar z ośmiu morgów, i rozpoczął odkopywania, które wnet uwieńczone zostały wspaniałym rezultatem. Odkrył podwaliny gmachu, i dobył z pod rumowisk wiele odłamów z rzeźb greckich o nieocenionej dla amatora wartości. Wszystkie te wykopaliska są dziś prawdziwą ozdobą londyńskiego muzeum. Zabiegi Wooda i nadspodziewanie świetne rezultaty tychże spowodowały wyprawę znanego Schliemana na miejsce, gdzie stała ongi Troja. Później rozpoczęto poszukiwania, w Olimpji, o których nieraz już wspominaliśmy w naszem piśmie. Opis całego przebiegu poszukiwań Wooda zająłby nam za wiele miejsca, poprzestaniemy więc jeno na podaniu tych udowodnionych przezeń szczegółów: Namuliska Kaystrosu pokryły bez wątpienia całą dolinę Efezu i podniosły ją o jakie 6 — 8 stóp wysokości. Stare łomy marmuru, które służyły do wspaniałych budowli Efezu, znajdują się jeszcze częściowo. Jeden z nich nosi nazwę: „Grota siedmiu braci śpiących.“ Legenda tak ją tłumaczy. Za Decenjana, gdy Chrześcijan prześladowano i ścigano jak dzikie zwierzęta, siedmiu młodzieńców chrześcijańskich Konstantyn, Dionisius, Jan, Maksiminian, Serapion Martinian i Malchus, skryli się do obszernej jaskini, wyżłobionej w skałach. Zostali jednak w niej przez zbirów zamurowani, usnęli, i dopiero po 200tu latach obudzili się, by oglądać tryumf nauki Chrystusa nad całym światem pogańskim.

— Pomiędzy wieloma przedmiotami, które po Napoleonie I przeszły w posiadanie zmarłego ekscesarza, znajdował się także zegarek kieszonkowy pierwszego, który on nosił bezustannie podczas wszystkich swoich wypraw wojennych, a nie rozstał się z nim aż przy zgonie na św. Helenie. Kupił go w Marsylji, będąc jeszcze porucznikiem artylerji, i choć po latach często zegarek potrzebował reperacyj, choć właściciel stanął na najwyższym szczeblu dostojeństw, o jakim nawet w młodości nie marzył zapewne, nie zmienił go jednak na inny. Będąc już cesarzem Francuzów, popatrzył raz na niego w obecności marszałka Berthier'a i ujrzał iż skazówki od kilku godzin stały nieruchome. Berthier zwrócił jego uwagę, iż zegarek nie idzie, na co odpowiedział mu Napoleon z uśmiechem: „Cóż się dziwisz marszałku, zegarkowi. Myśmy ludzie, a przecie kiedyś ustaniemy w naszym pochodzie.“ Gdy następnie zegarek ów przeszedł na własność Napoleona III, miał on go przy sobie niby jako amulet podczas swoich przedsięwzięć awanturniczych w Strasburgu i Boulogne. Począwszy od dnia, gdy został prezydentem Rzeczypospolitej francuskiej aż do śmierci w Chislechurst, nosił go zawsze przy sobie. W ścisłem kole rodziny ekscesarskiej opowiadają iż w dniu r. 1870 przeznaczonym na wyjazd Napoleona do armji, zegarek nagle ustał. Ekscesarz jak wiadomo dość zabobonny, uważał to zdarzenie za złowróżbny znak, i był resztę tego dnia w smutnem usposobieniu. Po śmierci jego Eugenja wręczyła zegarek synowi, który miał przy tej sposobności przyprzysiądz sobie, iż podobnie jak ojciec i stryj ojca, nie rozstanie się do śmierci z tą cenną pamiątką.

— Podług Niebubra, szeik Schadelli jest założycielem miasteczka Mokka, nad arabską zatoką w krainie Jemen. Tradycja arabska mówi, iż w miejscu gdzie znalazł pierwszy krzak cenny, którego owoce dostarczają znakomitego napoju, założył on siedzibę dla siebie i potomków swoich, dzisiejsi Turcy i Arabowie, zamieszkujący Mokkę, odmawiają codzień dodatkową modlitwę, w której dziękują Allachowi iż nauczył Szadellego sporządzać ten napój wyśmienity. William Law twierdzi że Chińczycy, Anglicy i Holendrzy umieją bardzo dobrze sporządzać herbatę, nie zaś kawę, którą najlepiej jedynie Turcy i Francuzi przygotowywać umieją. Atoli dr. Clarke mniema, iż mieszkaniec Konstantynopola zarówno nie potrafi zporządzić kawy podług prawideł arabskich, jak ogolić sobie brzytwą brodę. W Arabji tłuką kawę w drewnianych moździerzach drewnianemi tłuczkami. Te tłuczki używane są wyłącznie do tej czynności, a czem są starsze, tem więcej cenione. Oczywiście, że wybierają na nie drzewo, które nie posiada ani woni ani soków. Ziarnka kawy tłuką bezpośrednio przed sporządzeniem napoju, w przeciwnym bowiem razie, łatwo zapach mógł by się ulotnić. Szeik z Mokki używał w tym celu skórzannego worka, zaopatrzonego przy otworze drewnianą ściśle przylegającą obrączką. Do filtrowania brał zimną wodę, którą następnie ogrzewał przy ogniu; przy całej czynności postępował z największym pospiechem. Wiliam Law powiada między innemi, że Arabowie z tej przyczyny nazywali Napoleona „szeikiem“ gdyż nikt lepszej odeń nie pijał kawy. a to z powodu, iż znaną mu była właściwa proporcja między kawa wodą, niezbędna w jej przyrządzaniu. Przepis arabski na dobrą kawę brzmi tak: Na jedną filiżankę należy wziąć dwie uncje potłuczonej kawy. Zsypana do woreczka wolno wiszącego w naczyniu, ubija się silnie zapomocą drewnianego tłuczka. Następnie wlewa się potroszę zimnej, nigdy zaś gorącej czystej wody. Gdy się otrzyma odpowiednią ilość płynu, naczynie z nim wstawia się w kipiącą wodę w której tak długo pozostawić je należy, aż nabierze dostatecznego gorąca. Teraz dopiero można nalewać gotową kawę do filiżanek. Zimna woda zabiera z proszku kawy wszystkie substancje aromatyczne i pobudzające, podczas gdy gorzkie pozostają w osadzie we woreczku te bowiem ostatnie są rozpuszczalne jedynie w zimnej wodzie.

— Z białego ojca i matki Murzynki pochodzi Mulat, z białego ojca a Indjanki Metys, z Indjanina i Murzynki — Chino, z Murzyna i Indjanki — Zambo. Te cztery odmiany są wybitnemi rasami mięszanemi Ameryki. Mulat jest kawowobrunatny Metys złotawo czerwony, Chino brudno-czerwony, Zambo brudno-brunatny. Z białego ojca i Mulatki rodzi się Quadrone, z białego ojca i Metyski, Kreol. Quadroni i Kreolowie, choć smagli niezmiernie, są często bardzo przystojni. Z Murzyna i Mulatki pochodzi Cubra — najbrzydszy gatunek ludzi. W drugiem pokoleniu wraca u nich typ murzyński, co nie zdarza się nigdy u mięszanej rasy indyjskiej. Z Indjanina i Metyski pochodzi Metys jasny, (mestizo claro,) a niejednokrotnie należy do najpiękniejszych ludzi. Chino jest ciężki, ospały i nieporadny, Zambo zaś przewyższa go jeszcze w nieporadności.

— Jednym z najoryginalniejszych ptaków tropikowych, jest chileński Turco albo Quid-quid (pteroptochus). W rozległych borach chileńskich słychać często przeraźliwie wycie niby psa, a odgadnąć niepodobna, z której strony ono pochodzi i jak daleko odległe. Niezwykły ten wrzask, podobny zupełnie do wycia psiego, wydaje właśnie zagadkowy ów Turco. Jeżeli komu uda się szczęśliwie odkryć to zwierzę, zobaczy brzydkiego ptaka na wysokich nogach, z kusym ogonem. który bojaźliwie pomyka po gałęziach z przed oka ludzkiego, jak gdyby się wstydził swej brzydoty.

Od Redakcji.

P. W. w Czerniowcach. Umieścić nie możemy, ponieważ nie zgadza sie z kierunkiem naszego pisma.

L. H. w Krakowie. Niewłaściwe.

S. T. w Tarnopolu. Będzie rozpoczęte w numerze następnym.

Przypominamy, że najwyższy czas odnowić przedpłatę.

Treść Nr. 27.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).